

STEPHEN
KING

W WYSOKIEJ TRAWIE



JOE
HILL

STEPHEN
KING

JOE
HILL

W WYSOKIEJ TRAWIE

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI



Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny pisarz amerykański, nazywany „królem horroru”. W 2003 uhonorowany w USA prestiżową nagrodą literacką National Book Award. Debiutował pod koniec lat 60., ale światową sławę przyniosła mu wydana w 1973 powieść **Carrie**. Kolejne utwory - powieści, zbiory opowiadań, komiksy, scenariusze filmowe i sztuki teatralne - wydano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Christine**, **Desperacja**, **Zielona Milla**, **Komórka**, **Ręka mistrza**, **Pod kopułą**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **Dallas '63** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**. W 2013 ukazały się nowe powieści **Joyland** i sequel **Lśnienia** zatytułowany *Doctor Sleep*. Proza Kinga należy do najczęściej ekranizowanych. Zadania tego podejmowało się wielu wybitnych reżyserów, m.in. Brian de Palma, Stanley Kubrick, David Cronenberg, John Carpenter, Rob Reiner i Frank Darabont.

Tego autora

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
4 PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA POKOCHAŁA TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA

Saga MROCZNA WIEŻA

ROLAND
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O’Nan
TWARZ W TŁUMIE

www.stephenking.com

Tytuł oryginału:
IN THE TALL GRASS

Copyright © Stephen King & Joe Hill 2012
All rights reserved

Polish e-book & audio edition copyright © Wydawnictwo Albatros
A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 2013

Redakcja: Beata Słama
Ilustracja na okładce: Robert Adrian Hillman/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-077-9

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu epub i mobi



W WYSOKIEJ TRAWIE

Wolał chwilę ciszy niż radio, więc chyba można powiedzieć, że to on był wszystkiemu winny. Ona wolała w tym momencie świeże powietrze od klimatyzacji, więc chyba można powiedzieć, że to wszystko przez nią. Ale to zbieg obu okoliczności sprawił, że usłyszeli dziecko, więc można powiedzieć, że winę ponosili razem. Typowe, bo Cal i Becky wszystko w życiu robili razem. Rodzice nazywali ich irlandzkimi bliźniakami, choć różnica wieku między nimi wynosiła nie mniej niż rok, lecz dziewiętnaście miesięcy.

- Kiedy Becky podnosi słuchawkę, Cal mówi „halo” - powtarzał pan DeMuth.

- Wystarczy, żeby Cal pomyślał o przyjęciu, a Becky już ma listę gości - wtórowała mu pani DeMuth.

Nigdy w życiu się nie pokłócili, nawet wtedy, gdy Becky, studentka pierwszego roku, mieszkająca wówczas w akademiku, pojawiła się w mieszkaniu, które Cal wynajmował w mieście, i oznajmiła, że jest w ciąży. Przyjął to bardzo dobrze. Rodzice nie. Rodzice nie okazali się aż tak światowi.

Mieszkali wtedy w Durham, bo Cal wybrał Uniwersytet New Hampshire. Kiedy dwa lata później Becky (wówczas jeszcze nie w ciąży, choć niekoniecznie dziewica) dokonała identycznego wyboru, jego oczywistość wydawała się wręcz nudna.

- Przynajmniej nie musi wracać co weekend do domu, żeby cieszyć się jej towarzystwem - powiedziała pani DeMuth.

- Może będzie wreszcie trochę spokoju - dodał pan DeMuth. - Minęło dobre dwadzieścia lat, ta ich wspólnota miała czas zależeć człowiekowi za skórę.

Oczywiście nie wszystko robili razem, bo to z całą pewnością nie Cal zafundował siostrzyczce brzuszek. I Becky sama, zupełnie sama wpadła na pomysł, żeby spytać wujka Jima i ciocię Anne, czy mogłyby pomieszkać z nimi przez jakiś czas, tylko do narodzin dziecka. DeMuthowie, zaskoczeni i nieco zakłopotani sytuacją, uznali to za całkiem rozsądne wyjście, a gdy Cal zasugerował, że on też mógłby wziąć urlop na wiosenny semestr, by przejechać kraj w poprzek wraz z siostrą, nie zrobili z tego sprawy. Zgodzili się nawet, żeby został z nią w San Diego aż do porodu. Mógłby poszukać sobie pracy, dołożyć się do wydatków.

- Dziewiętnaście lat i ciąża - zmartwiła się pani DeMuth.

- Kiedy miałaś dziewiętnaście lat, też byłaś w ciąży - zauważył pan DeMuth.

- Owszem, ale ja miałam męża - przypomniała pani DeMuth.

- Bardzo fajnego faceta - czuł się w obowiązku dodać pan DeMuth.

Pani DeMuth westchnęła ciężko.

- Becky wybierze mu pierwsze imię, a Cal drugie.

- Albo odwrotnie. - Pan DeMuth również westchnął. (Bywa, że małżonkowie też są irlandzkimi bliźniakami).

Niedługo przed wyjazdem dzieciaków na Zachodnie Wybrzeże matka zabrała Becky na lunch.

- Jesteś pewna, że chcesz oddać dziecko do adopcji? - spytała. - Wiem, że to nie moja sprawa, jestem tylko matką, ale ojca to interesuje.

- Sama nie wiem - powiedziała Becky. - Cal pomoże mi zdecydować.

- A ojciec dziecka, kochanie?

Becky wyglądała na zaskoczoną.

- Och, przecież on nie ma nic do powiedzenia. Okazał się głupcem.

Pani DeMuth westchnęła.



Tego ciepłego, wiosennego, kwietniowego dnia jechali przez Kansas ósmioletnią mazdą z rejestracją z New Hampshire i śladami soli ciągle widocznymi na progach. Odrobina ciszy zamiast włączonego radia, otwarte okna zamiast klimatyzacji... no i w rezultacie oboje usłyszeli ten głos. Cichy, lecz wyraźny.

- Ratunku! Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

Brat i siostra wymienili zdumione spojrzenia. Cal, siedzący za kierownicą, natychmiast zjechał na pobocze. Zaszleścił uderzający o podwozie piasek.

Przed wyjazdem z Portsmouth postanowili, że będą unikali płatnych autostrad. Cal chciał zobaczyć smoka z Kaskaskii w Vandalii w Illinois, Becky chciała okazać szacunek Największemu na Świecie Kłębкови Sznurka w Cawker City w Kansas (oba marzenia już spełnione), poza tym oboje uważali za konieczne odwiedzenie Roswell z całym tym pozaziemskim gównem. W tej chwili byli już spory kawałek na południe od Kłębka Sznurka: włochoatego, aromatycznego, bardziej imponującego, niż oboje się spodziewali - na odcinku drogi numer siedemdziesiąt trzy, dobrze utrzymanej, dwupasmowej, mającej doprowadzić ich przez płaskie jak półmisek Kansas aż do granicy z Kolorado. Ciągnęła się przed nimi prosta i pusta - ani śladu samochodu osobowego, ani śladu ciężarówki. Za nimi to samo.

Po ich stronie szosy stało kilka domów, zabity deskami kościół pod wezwaniem Czarnego Kamienia Odkupiciela (zdaniem Becky dziwne to było wezwanie, ale w końcu Kansas to Kansas) i wałaca się kręgielnia, wyglądająca tak, jakby po raz ostatni grano w niej mniej więcej wtedy, gdy zespół Trammps dopuścił się przestępstwa podpalenia muzyki pop, rozpętując piekło disco. Po drugiej stronie siedemdziesiątkitrojki nie było nic, tylko zielona trawa.

Ciągnąca się aż po horyzont, wprawdzie nieskończenie daleki, ale też niczym szczególnym się niewyróżniający.

- Co, do... - Becky się zachłysnęła. Miała na sobie lekki płaszczyk, rozpięty na brzuchu. Właśnie zaczął się zaznaczać; co szósty miesiąc, to szósty miesiąc.

Cal podniósł rękę. Na siostrę nawet nie spojrział. Patrzył na trawę.

- Ciii... słuchaj.

Z jednego z domów dobiegała cicha muzyka. Trzy razy chrapliwie zaszczekał pies - wrrrhau, wrrrhau, wrrrhau - i umilkł. Ktoś gdzieś przybijał deskę. Przez cały czas cicho szumiał wiatr. Nagle Becky uświadomiła sobie, że widzi ten wiatr, czeszący trawę po drugiej stronie drogi. Falowała w jego podmuchach, a fale rozchodziły się daleko, aż zniknęły jej z oczu.

W chwili gdy Cal był już prawie przekonany, że tak naprawdę niczego nie słyszeli - nie byłby to pierwszy raz, gdy wyobrazili sobie to samo w tej samej chwili - głos rozległ się znowu.

- Pomocy... ratunku... proszę! - I jeszcze: - Zgubiłem się!

Spojrzeli na siebie z niepokojem, ale też ze zrozumieniem. Trawa była nieprawdopodobnie wręcz wysoka (tak ogromna połać niemal dwumetrowej trawy o tej porze roku... niezwykłość tego uświadomili sobie znacznie później). Dziecko weszło w nią, pewnie przez ciekawość, na pewno mieszka w którymś z sąsiednich domów. Zagubiło się, poszło jeszcze głębiej. Sądząc po głosie, mogło mieć z osiem lat, a więc nie dałoby rady podskoczyć, by w ten sposób sprawdzić, gdzie jest.

- Powinniśmy go wyciągnąć - uznał Cal.

- Zjedź na parking przed kościołem - poleciła Becky. - Nie stójmy tak na poboczu.

Brat zostawił Becky i zatrzymał mazdę na spłachetku nagiej ziemi przed Odkupicielem. Stało tam już kilka przykurzonych samochodów z szybami odbijającymi jaskrawe promienie słoneczne. Tylko jeden nie sprawiał

wrażenia, jakby stał tu od kilku dni lub nawet kilku tygodni, ale na ten dziwny szczegół nie zwrócili wtedy uwagi. Dopiero później.

Podczas gdy Cal zajmował się samochodem, Becky przeszła na drugą stronę szosy. Przyłożyła do ust złożone dłonie.

- Mały?! Hej, mały! Słyszysz mnie?!

Głos odkrzyknął po chwili:

- Tak! Pomóżcie mi! Siedzę tu od wielu godzin!

Becky pamiętała, jak dzieci odczuwają upływ czasu. „Wiele godzin” oznaczało pewnie ze dwadzieścia minut. Przed sobą miała ścieżkę w wydeptanej, połamanej trawie, to tędy mały wszedł na pole (myśląc pewnie o jakiejś grze albo filmie o przygodach w dżungli), ale nikogo nie zobaczyła. Nie zdziwiła się, głos dobiegał jakby z lewej, coś jak z godziny dziesiątej. I z nie tak całkiem daleka, co też miało sens, bo gdyby dzieciak się oddalił, toby go nie usłyszeli, nawet bez radia i z otwartymi oknami.

Już miała zejść przez rów do granicy trawy, kiedy odezwał się drugi głos, kobiecy, ochryply i niepewny. Głos kogoś, kto właśnie obudził się z długiego snu i potrzebuje łyka wody. Bardzo go potrzebuje.

- Nie! - krzyknął ochryply głos. - Nie, proszę, nie wchodźcie tu! Tobin, przestań krzyczeć. Przestań krzyczeć, skarbie, bo cię usłyszysz!

- Hej! - zawołała Becky. - Co się dzieje?

Za jej plecami trzasnęły drzwiczki. Cal. Właśnie przechodził przez szosę.

- Zgubiliśmy się! - odezwał się znowu chłopiec. - Pomóżcie nam! Proszę! Mama jest ranna. Proszę! Proszę, pomóżcie nam!

- Nie! - powtórzyła kobieta. - Nie, Tobin, nie!

Becky obejrzała się przez ramię, żeby zobaczyć, co Cal tak długo tam robi.

Cal przeszedł kilkanaście metrów po parkingu, a potem przystanął przy wozie wyglądającym na pierwszy model

priusa. Karoserię pokrywała cienka warstwa jasnego pyłu, jak po długiej drodze, przednia szyba też była cała zakurzona. Chłopak zgarbił się lekko, przysłonił oczy dłonią i zajrzał do środka przez boczną szybę. Przyglądał się czemuś na siedzeniu pasażera. Ściągnął brwi, jakby to coś skłoniło go do zastanowienia, a potem drgnął, jakby ugryzła go pchła.

- Proszę - powiedział chłopiec. - Zgubiliśmy się. Nie mogę znaleźć drogi!

- Tobin! - krzyknęła kobieta, a potem zacharczała i ucichła, jakby miała zbyt suche usta, by wydobyć z nich dźwięk.

Albo właśnie padają ofiarą jakiegoś skomplikowanego zartu, albo coś tu jest bardzo nie tak. Becky DeMuth nie zdawała sobie sprawy, że jej ręka uniosła się i przycisnęła twardej jak piłka do siatkówki brzuch. Nie połączyła też tego, jak się w tej chwili czuje, ze snami niepokojącymi ją od dobrych dwóch miesięcy, snami, o których nie rozmawiała nawet z Calem - tymi o jeździe nocą. W tych snach też krzyczało dziecko.

Zeszła z szosy dwoma długimi krokami. Nasyp był stromy, bardziej, niż mogło się wydawać, i teraz, gdy stała na dole, widziała, że trawa jest wyższa, niż oceniła to na pierwszy rzut oka, nie prawie dwa metry, ale dobrze ponad dwa.

Powiał wiatr. Ściana trawy pochyliła się ku niej, a potem oddaliła.

- Nie szukaj nas! - krzyknęła kobieta.

- Pomocy! - natychmiast zaprzeczył jej słowom chłopiec, jakby chciał ją zagłuszyć. Wyglądało na to, że jest blisko, tuż na lewo od Becky. Nie tak blisko, by mogła sięgnąć na oślep i złapać go za ramię, ale z pewnością nie dalej niż dziesięć, dwanaście metrów.

- Tu jestem, mały! - zawołała. - Idź w moją stronę. Jesteś już prawie na drodze. Prawie ci się udało.

- Ratunku! Ratunku! Ciągle nie mogę cię znaleźć. - Głos chłopca był jeszcze bliższy. A potem rozległ się histeryczny

ni to szloch, ni to śmiech, od którego Becky ścierpła skóra.

Cal zszedł z szosy, poślizgnął się na stromym nasypie i o mało nie klapnął na tyłek. Ziemia była wilgotna. Jeśli Becky się zawahała, nie weszła w gęstą trawę, nie pospieszyła jeszcze na pomoc chłopcu, to tylko dlatego, że nie chciała przemoczyć szortów. Wysoka trawa zatrzymała tyle rosy, że pewnie można byłoby napęłnić nią basen.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się Cal.

- Jest z nim kobieta - wyjaśniła Becky. - Dziwnie się zachowuje.

- Gdzie jesteś?! - krzyknął chłopiec. Prawie bełkotał. Był mniej więcej metr, półtora od nich. Becky szukała wzrokiem plamy szortów albo koszulki, ale niczego nie zobaczyła. Na to był odrobinę za daleko. - Przyjdiesz po mnie?! Proszę! Nie mogę znaleźć drogi!

- Tobin! - dał się słyszeć pełen napięcia głos jego matki. - Tobin, przestań!

- Trzymaj się, mały. - Cal wszedł w trawę. - Kapitan Cal spieszy ci na pomoc, ta, ta, ta, ta!

Becky wyjęła komórkę. Ścisnęła ją w rękę i otwierała usta, by spytać Cala, czy powinni zadzwonić po drogówkę, czy co tu chodzi w niebieskich mundurach.

Cal zrobił krok, potem drugi. Nagle Becky widziała już tylko plecy jego dżinsowej koszuli i tył szortów khaki. Bez żadnego, ale to żadnego powodu, zupełnie nieracjonalnie, na samą myśl o tym, że straci go z oczu, wyraźnie podskoczył jej puls.

Spojrzała na dotykowy wyświetlacz małego czarnego smartfona. Zasięg miała pełny, wszystkie pięć kresek. Wprowadziła 911 i wcisnęła przycisk oznaczony słuchawką. Podniosła telefon do ucha i zrobiła długi krok w trawę.

Po jednym sygnale mechaniczny głos poinformował ją, że rozmowa jest nagrywana. Becky zrobiła kolejny krok, nie chciała stracić z oczu niebieskiej koszuli i jasnobrązowych

szortów. Cal zawsze był taki niecierpliwy. No, ona oczywiście też.

Mokra trawa ocierała się z głośnym szelestem o jej bluzkę, szorty, gołe nogi. *Raz rzekł ktoś ze Stanów...* – pomyślała, wykasłując z podświadomości na pół zapomniany limeryk. *Zastanów się nad tym, że każdy zna stan ów, gdy człowiek z rozpaczy już nawet nie patrzy na napis: „Dla Pań” lub „Dla Panów”*. Na pierwszym roku, na zajęcia z literatury, napisała pracę o limerykach. Uważała ją za błyskotliwą, a dostała zaledwie trzy plus i do tej pory w głowie dźwięczały jej głupawe rymiki.

Mechaniczny głos ucichł. Zastąpił go głos niewątpliwie ludzki.

- Telefon alarmowy okręgu Kiowa dziewięć-jeden-jeden, proszę podać miejsce zdarzenia i określić jego charakter.

- Jestem na drodze siedemdziesiąt trzy – powiedziała Becky. - Nie znam nazwy miasteczka, ale jest tu kościół, jakiś kamień Odkupiciela czy coś... i zrujnowana wrotkarnia... no nie, chyba raczej kręgielnia... jakieś dziecko zgubiło się w trawie. Jego matka też. Słyszymy, jak wołają o pomoc. Dziecko jest blisko, matka trochę dalej. Dziecko jest chyba przestraszone, a matka... - Chciała powiedzieć „dziwna”, ale nie zdążyła.

- Przepraszam, ale jakość połączenia jest bardzo zła, proszę powtórzyć zgłoszenie...

I cisza. Becky zatrzymała się i spojrzała na wyświetlacz. Jedna kreska, a na jej oczach nawet i ona znikła, a pojawił się napis BRAK ZASIĘGU. Oderwała wzrok od telefonu. Cal zdążył zniknąć w trawie.

Dziesięć i pół kilometra nad jej głową przeleciał pasażerski odrzutowiec, ciągnąc za sobą małą smugę kondensacyjną.



- Pomóżcie mi! Ratunku!

Mały był gdzieś blisko, ale chyba nie aż tak blisko, jak to się Calowi wydawało. I nieco bardziej na lewo.

- Wróć na drogę! - krzyknęła kobieta. Za to ona jakby się zbliżyła. - Wróć na drogę, póki jeszcze możesz!

- Mamo! Mamusiu! Przecież oni chcą pomóc!

Dzieciak krzyczał. Głośno, przeraźliwie, ranił uszy wrzaskiem, a potem nagle wrzask się załamał i przeszedł w kolejny atak histerycznego śmiechu. Rozległ się głośny szelest i jeszcze głośniejsze trzaski, brzmiało to jak atak paniki, ale mogło też oznaczać walkę. Cal rzucił się w tym kierunku, pewny, że lada chwila wyskoczy na wydeptaną ziemię, że zobaczy małego - Tobina - i jego matkę broniących się przed szaleńcem z nożem jak z filmu Quentina Tarantino. Przebiegł tak dobre dziesięć metrów, zanim się zorientował, że musi być za daleko, a jednocześnie trawa owinęła się wokół jego lewej kostki. Chwytał jej pędy, próbując powstrzymać upadek, ale zyskał tyle, że je wyrwał. Poczł obrzydliwie lepki sok ściekający mu z dłoni na nadgarstki. Padł na brzuch na gąbczastą ziemię i błoto dostało mu się do nosa. Cudownie. Dlaczego drzewo nigdy nie rośnie tam, gdzie jest potrzebne?

Uniósł się. Ukląkł.

- Mały? Tobin? Śpiewaj... - Kichnął, pryskając błotem. Wytarł twarz, zaczerpnął powietrza i poczuł zapach trawy i wydzielanego przez nią soku. Robiło się coraz fajniej. Bukiet wrażeń, coś dla wszystkich zmysłów. - Śpiewaj! I ty, mamusiu, też!

Mama nie zaśpiewała. Jej synek - owszem.

- Proszę, pomóż miiii!

Tym razem głos dobiegał z prawej strony. Poza tym brzmiał tak, jakby chłopiec oddalił się od niego całkiem spory kawałek. Jak to możliwe? Zaledwie przed chwilą wydawało się, że ma go w zasięgu ręki!

Cal odwrócił się pewny, że zobaczy siostrę tuż za plecami, ale ujrzał tylko trawę. Wysoką trawę. Powinien zobaczyć także ścieżkę, którą w niej wydeptał, biegnąc, ale jej też nie

widział, zaledwie wygniecioną polankę tam, gdzie padł jak długi, a i tutaj trawa już się unosiła. Twardą trawę mają w tym Kansas. Twardą i cholernie wysoką.

- Becky? Beck?

- Spokojnie, tu jestem - usłyszał i choć jej nie widział, miał zobaczyć za chwilę, dziewczyna praktycznie deptała mu po piętach. Bardzo z czegoś niezadowolona. - Przerwało mi połączenie z dziewięćset jedenaście, wiesz?

- Nie ma sprawy, utrzymuj połączenie ze mną. - Cal spojrzął przed siebie i przyłożył do ust złożone dłonie. - Tobin!

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Tobin!

- Co?! - Cicho. Z daleka. Jezu Chryste, co ten dzieciak wyprawia? Spieprza przed nimi aż do samej Nebraski? - Idziecie?! Chodźcie! Musicie przyjść! Nie mogę was znaleźć!

- MAŁY, STÓJ! - Odkrzyknął tak głośno, tak wyraźnie, że nadwyrężył sobie struny głosowe. To było jak koncert Metalliki, tyle że bez muzyki. - NIE OBCHODZI MNIE, JAK BARDZO SIĘ BOISZ, MASZ STAĆ! NIE RUSZAJ SIĘ, MY DO CIEBIE PRZYJDZIEMY!

Cal zerknął za siebie, pewny, że tym razem ujrzy Becky, ale znów była tylko trawa. Przykucnął, a potem podskoczył. Zobaczył szosę (była o wiele dalej, niż się spodziewał, musiał biec, nie zdając sobie sprawy z tego, jak długo to robi), kościół Świętego Janka od Alleluja, czy jak go tam nazywali, zobaczył kręgielnię. Nic więcej. Nie spodziewał się, że dostrzeże głowę siostry, miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, za to spodziewał się, że dostrzeże jej ślad. Ale wiatr kołysał trawami mocniej niż przedtem, no i wydawało się, że takich wydeptanych ścieżek, jakie mogła po sobie zostawić, jest co najmniej kilkanaście.

Znów podskoczył. Wilgotna ziemia ugiwała się pod jego stopami. Widziane przez krótką chwilę fragmenty drogi doprowadzały go do szału.

- Becky?! Gdzie ty się podziewasz, do diabła?

Becky słyszała, jak brat wrzeszczy na dzieciaka, żeby stał i nie ruszał się, choćby nie wiem co. Żeby czekał, aż on do niego przyjdzie. Brzmiało to całkiem rozsądnie, ale pod warunkiem że ten jej głupi brat na nią zaczeka. Była zmęczona i mokra i po raz pierwszy naprawdę czuła, że jest w ciąży. Ale była też dobra wiadomość: Cal znajdował się blisko, po jej prawej, na godzinie pierwszej.

Wszystko pięknie ładnie, ale za chwilę do reszty zniszczę tenisówki. Prawdę mówiąc, pewna miła Becky nie ma najmniejszych wątpliwości, że już je zniszczyła.

- Becky? Gdzie ty się podziewasz, do diabła?

W porządku, rzeczywiście to dość dziwne, bo teraz, choć ciągle blisko, po prawej, Cal był raczej na godzinie piątej, tuż za nią.

- Tu jestem. I przynajmniej ja się nie ruszę, póki do mnie nie przyjdiesz. - Spojrzała na wyświetlacz telefonu. - Cal, masz zasięg?

- A skąd mam wiedzieć? Zostawiłem komórkę w samochodzie. Gadaj i nie przerywaj, póki do ciebie nie dojdę.

- Co z dzieckiem? I tą zwariowaną kobietą? Jej chyba kompletnie odbiło.

- Najpierw się spotkajmy, a potem będziemy się o nich martwili. - Becky знаła brata. Nie podobało jej się, jak mówi. Cal się boi, ale stara się tego nie okazywać. - Na razie po prostu do mnie mów.

Becky rozważyła propozycję, po czym wygłosiła donośnie, przytupując do taktu ubłoconą tenisówką:

Raz pewien poeta chimeryk

Napisał tragiczny limeryk.

Pytany o motyw

Wyjaśnił: tęsknoty

W ten sposób wyrazić swej chęć ryk.

- Urocze - stwierdził Cal. Był teraz dokładnie za nią, pozornie tak blisko, że wystarczyło sięgnąć ręką, żeby go dotknąć, tylko niby dlaczego na tę myśl poczuła aż tak wielką ulgę? To przecież nic, tylko pole, na litość boską!

- Hej, słyszycie mnie?! - Znowu ten mały. Ledwo go słyszeli. Już się nie śmiał, wyglądało nato, że zgubił się i jest bardzo wystraszony. - Szukacie mnie? Ja się boję.

- TAK! TAK. WSZYSTKO W PORZĄDKU! TRZYMAJ SIĘ! - krzyknął Cal. - Becky? Becky, mów do mnie.

Becky położyła dłonie na brzuchu. Nie chciała nazywać go „świadectwem macierzyństwa”, to było jak cytaty z „People”. Delikatnie go podtrzymała.

- Znam jeszcze jeden wierszyk. *Przedsiębiorca pogrzebowy podjął kroki, by do jego firmy szły zwłoki z Milwaukee...*

- Dobra, przestań. Jakimś cudem udało mi się ciebie wyprzedzić.

To prawda, jego głos dobiegał teraz z przodu. Musiała znów się odwrócić.

- Przestań się wygłupiać - zaprotestowała. - To wcale nie jest zabawne.

Miała sucho w ustach. Przełknęła. Jej gardło też było suche. Dowiadujesz się, jakie jest suche, kiedy próbujesz przełknąć ślinę i słyszysz takie charakterystyczne kliknięcie. W samochodzie mieli wielką butlę wody Poland Springs, a na tylnym siedzeniu kilka puszek coli. Widziała je jak żywe: czerwone z białymi napisami.

- Becky?

- Co?

- Coś tu jest nie tak.

- O co ci chodzi? - spytała, myśląc: Jakbym nie wiedziała.

- Posłuchaj mnie. Możesz podskoczyć?

- Oczywiście, że mogę podskoczyć. Co to za pytanie?

- Zdaje się, że w lecie rodzisz, dlatego pytam.

- Ciągle mogę i... Cal, nie odchodź!

- Przecież się nie ruszam.

- Wręcz przeciwnie, dość tych żartów. Odchodzisz.

- Zamknij się i słuchaj. Policzę do trzech. Na trzy podnosisz nad głowę wyprostowane ręce jak sędzia sygnalizujący strzał na bramkę, a potem skaczesz najwyżej, jak potrafisz. Zrobię dokładnie to samo. Nie musisz latać, ale chcę przynajmniej zobaczyć twoje ręce. Rozumiesz? A potem to ja przyjdę do ciebie.

Zagwiżdż, a przyjadę po ciebie, mój chłopcze^[1], pomyślała Becky. Nie miała pojęcia, co jej strzeliło do głowy i skąd te słowa, pewnie znów coś z ćwiczeń z literatury na pierwszym roku, ale jedno wiedziała na pewno: jej brat może sobie mówić, że się nie rusza, ale rusza się z całą pewnością i przez cały czas się od niej oddala.

- Becky? Be...

- W porządku! - krzyknęła rozpaczliwie. - W porządku, skaczemy!

- Raz, dwa... trzy!

Gdy miała piętnaście lat, Becky ważyła niecałe czterdzieści kilo. Ojciec nazywał ją Patykiem. Biegała przez płotki w reprezentacji szkoły. Mając piętnaście lat, potrafiła na rękach przejść szkolnym korytarzem, z jednego końca budynku na drugi. Bardzo chciała wierzyć, że ciągle jest tamtą dziewczynką, jakaś część jej nadal była pewna, że pozostanie nią do końca życia, jakaś jej część nadal nie pogodziła się z faktami: ma dziewiętnaście lat i jest w ciąży. Waży nie czterdzieści, lecz prawie sześćdziesiąt kilo. Wyciągniętą ręką pragnęła dotknąć nieba, „Houston, Becky wystartowała”, ale to było jak skakanie z dzieckiem siedzącym na barana (jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to właściwie tak było).

Udało jej się zaledwie zerknąć ponad wierzchołkami traw, przez króciutką chwilę patrzyła w stronę, z której przyszła, ale to, co zobaczyła, niemal odebrało jej oddech. Z przerażenia.

Cal i droga. Cal... i droga...

Wylądowała. Ziemia uderzyła ją z większą siłą, niż się spodziewała, poczuła ból kolan. Poślizgnęła się na błocie i upadła. Klapnęła w grubą warstwę miękkiej mazi, ziemia uderzyła ją po raz drugi, prawdziwy klaps w tyłek.

Była pewna, że odeszła od drogi na nie więcej niż jakieś dwadzieścia kroków. No, niech będzie trzydzieści, ale nie więcej. Droga powinna być wystarczająco blisko, żeby dorzucić do niej frisbee. Ale w rzeczywistości przeszła dobrą długość boiska do futbolu. Albo i więcej. Jadący szosą poobijany czerwony datsun wyglądał ja matchbox. Od ciemnej nitki dzieliło ją sto trzydzieści metrów trawy, falujący leniwie ocean wilgotnego zielonego jedwabiu.

Siedząc tak w błocie, najpierw pomyślała: Nie, to niemożliwe. Nie widziałaś tego, co ci się wydaje, że widziałaś.

Potem pomyślała o kiepskiej pływaczce pochwyconej przez wsteczną falę, niesionej coraz dalej w morze, nierozumiejącej, co się z nią dzieje i w jakim jest niebezpieczeństwie, póki nie zda sobie sprawy, że na plaży już nikt jej nie słyszy.

Wstrząsnął nią widok nieprawdopodobnie dalekiej szosy, ale jeszcze bardziej widok Cala. Nie dlatego, że był daleko, ale dlatego, że był naprawdę blisko. Widziała, jak wyskakuje spośród traw najwyżej trzy metry od niej, a przecież oboje wrzeszczeli, ile sił w płucach, tylko po to, by się w ogóle usłyszeć.

Błoto było ciepłe, lepkie, jak łożysko.

W trawie głośno brzęczały owady.

- Uważajcie, bo wy też się zgubicie! - krzyknął chłopiec.

I znów rozległ się śmiech, krótkie, nerwowe świadectwo rozbawienia. Nie śmiał się Cal, nie śmiał się nawet chłopiec ani nie śmiała się kobieta. Ten śmiech dobiegł z lewej strony Becky. Ucichł niemal natychmiast, ustępując bzyczeniu i buczeniu. Śmiał się mężczyzna, jakby był bardzo pijany.

Becky nagle przypomniała sobie, co krzyknęła Szalona Mamuśka: „Przestań krzyczeć, skarbie, bo cię usłyszysz”.

Co, do kurwy nędzy?

- Co, do kurwy nędzy?! - wrzasnął Cal, jakby odpowiedziało jej echo. Nic szczególnie dziwnego czy zaskakującego. „Sukienka i spodnie, a myślą podobnie”, lubił powtarzać pan DeMuth. „Dwie głowy na jednej szyi”, wtórowała mu pani DeMuth.

Zapadła cisza, w której tym wyraźniej słychać było szum wiatru i ciągłe buczenie owadów. A potem, najgłośniej jak się dało, krzyk:

- CO SIĘ TU, KURWA, DZIEJE?!



Jakieś pięć minut później, na jedną krótką chwilę Cal prawie stracił nad sobą panowanie. Było to zaraz po tym, jak zdecydował się na eksperyment. Podskoczył, spojrzął na drogę, wylądował, odczekał, policzył do trzydziestu, znów podskoczył i znów spojrzął na drogę.

Ktoś, kto upiera się przy absolutnej dokładności stwierdzeń, powiedziałyby pewnie, że dowodem utraty panowania nad sobą jest sam pomysł przeprowadzenia takiego eksperymentu. Ale kiedy się na to zdecydował, rzeczywistość zaczynała przypominać grunt pod nogami: była miękka i śliska. Nie potrafił wykonać czynności tak prostej, jak marsz w kierunku, z którego dobiegał głos siostry, bo kiedy szedł w lewo, słyszał go z prawej, a kiedy szedł w prawo, docierał do niego z lewej, czasami z tyłu, a czasami z przodu. I niezależnie od tego, w którą stronę zmierzał, oddalał się od drogi.

Podskoczył, spojrzął na wieżę kościółka, smukłą i oślepiająco białą na tle jaskrawoniebieskiego bezchmurnego nieba. Nędzny kościółek i smukła, wysoka wieża. Wierni musieli słono zapłacić za to cudo, pomyślał. Choć z miejsca, w którym teraz stał, jakieś czterysta

metrów dalej – owszem, szaleństwo, przecież przeszedł nie więcej niż trzydzieści metrów – nie widział łuszczącej się farby ani zabitych deskami drzwi. Nie widział nawet własnego samochodu stojącego wśród innych maleńkich samochodzików. Ale priusa tak, owszem. Parkował w pierwszym rzędzie. Próbował nie myśleć o tym, co dostrzegł na jego przednim siedzeniu... szczególnie koszmaru, nad którym wolał się nie zastanawiać.

Po pierwszym skoku miał wieżę kościoła na wprost. W każdym normalnym świetle dotarłby do niej, po prostu idąc przed siebie, podskakując od czasu do czasu, by zorientować się w kierunku, i lekko go korygować, gdyby okazało się to konieczne. Pomiedzy kościołem i kręgielnią stał zardzewiały, postrzelany znak: romb z żółtymi krawędziami, pewnie ostrzeżenie: ZWOLNIJ, PRZEJŚCIE DLA DZIECI. Cal nie był tego pewny, okulary też zostawił w samochodzie.

Stał w miękkim błocie. Liczył.

- Cal?! - krzyknęła jego siostra. Stała gdzieś tam, z tyłu.

- Czekaj!

- Cal?! - Tym razem głos Becky dobiegał z lewej. - Chcesz, żebym mówiła? - Nie odpowiedział. Tym razem z przodu usłyszał, jak podśpiewuje: *Pewna dziewczyna przybyła do Yale...*

- Zamknij się i czekaj!

Gardło miał suche i ściśnięte, przetykał z ogromnym trudem. Choć dochodziła czternasta, wydawało się, że słońce świeci wprost nad jego głową. Czuł żar promieni na głowie i na końcach uszu, wrażliwych i już lekko poparzonych. Pomyślał, że gdyby miał coś do picia – łyk zimnej źródlanej wody albo puszkę coli z samochodu – to pewnie nie czułby się tak fatalnie i wcale nie denerwował.

W trawie płonęły krople rosy, setka miniaturowych szkieł powiększających odbijających i wzmacniających światło.

Dziesięć sekund.

- Mały?! - zawołała Becky. Znow była gdzieś tam, za nim. Nie, przestań, ona się nie porusza. Panuj nad sobą, człowieku. - Jesteś tam gdzieś?

- Tak! Znalazłaś moją mamę?

- Jeszcze nie! - krzyknął Cal. Pomyślał, że mama nie odzywała się od jakiegoś czasu. Nie żeby miał się nią jakoś szczególnie przejmować. Nie teraz.

- Mały? - Becky znow była za nim. - Wszystko będzie dobrze.

- Widziałaś mojego tatę?

Jeszcze jeden, pomyślał Cal. Wspaniale. Może jest tu gdzieś William Shatner? Mike Huckabee? Kim Kardashian? Facet, który gra Opiego w *Synach Anarchii* i wszyscy aktorzy z serialu *Walking Dead*.

Zamknął oczy. Przez chwilę naprawdę kręciło mu się w głowie, jakby stał na najwyższym szczeblu drabiny, która właśnie zaczęła się kołysać. Pożałował, że pomyślał o *Walking Dead*. Powinien poprzestać na Williamie Shatnerze. I na Mike'u Huckabee. Otworzył oczy i ze zdumieniem stwierdził, że się chwieje. Udało mu się jakoś odzyskać równowagę. Po twarzy spływał mu pot.

Trzydzieści. Stał w jednym miejscu przez trzydzieści sekund. Pomyślał, że powinien czekać do pełnej minuty, ale nie był w stanie czekać, więc znow podskoczył i znow spojrzał na kościół.

Było w nim coś - jakaś część jego osoby, którą przez cały ten czas z takim wysiłkiem starał się zignorować - co z góry wiedziało, co zobaczy. I prowadziło swobodny, niemal wesoły komentarz na żywo: „Wszystko się poruszy, Cal, stary przyjacielu. Trawa płynie, a ty płyniesz wraz z nią. Pomyśl o tym jak o zjednoczeniu z naturą, bracie”.

Zmęczone nogi uniosły go w powietrze. Teraz kościół znajdował się po jego lewej ręce. Nie tak znowu bardzo, wręcz przeciwnie, ale zdryfował w prawo tak, że Cal widział teraz nie front znaku w kształcie rombu, lecz jego tył ze srebrnego aluminium. Poza tym, choć nie był tego

do końca pewny, sądził, że znów oddalił się od drogi. Trochę, jakby licząc do trzydziestu, zrobił kilka kroków do tyłu.

Gdzieś tam znowu szczechnął pies. Gdzieś tam grało radio. Nie potrafił rozpoznać piosenki, słyszał tylko rytmiczne dudnienie basów. Owady też grały na swoją jedną szaleńczą nutę.

- Dajcie spokój - powiedział Cal. Nie należał do ludzi, którzy chętnie gadają sami do siebie. Jako młody człowiek uważał się za deskorolkarza buddystę i czuł dumę na myśl, jak długo, całkiem szczęśliwy, potrafi milczeć, ale teraz mówił, choć właściwie nieświadomie. - Dajcie spokój, do kurwy nędzy, przecież to jakieś wariactwo.

Mówił... a także szedł. Szedł w stronę drogi - i z tego też prawie nie zdawał sobie sprawy.

- Cal?! - krzyknęła Betty.

- To jakieś wariactwo - powtórzył. Oddychał ciężko, parł przez trawę jak czołg. Coś chwyciło go za stopę. Wylądował kolanami w gorącej wodzie, nie letniej, ale gorącej, jak do kąpieli. Prysnęła mu na szorty, wrażenie było takie, jakby zsikał się w majtki.

To go podłamało. Zerwał się na równe nogi. Zaczął biec. Trawa biła go po twarzy. Była twarda, miała ostre krawędzie i kiedy taki zielony miecz uderzył go pod lewym okiem, poczuł ostry ból. Ból zaskoczył go i przestraszył. Pobiegnął szybciej, ile sił w nogach.

- Pomóście mi, proszę! - krzyknął dzieciak. Jak wam się to podoba? „Pomóście” dobiegło z lewej strony, „mi, proszę” z prawej. Kanskaska wersja Dolby stereo.

- To jakieś szaleństwo! - nie wytrzymał Cal. - Szaleństwo, szaleństwo, pieprzone szaleństwo! - Słowa zlewały się w jedno: „szaleństvoszaleństvoszaleństwo”, brzmiały głupio, a sama obserwacja też nie należała do przesadnie wnikliwych. Mimo to nie mógł przestać tego powtarzać.

Znów się przewrócił, tym razem groźniej, na brzuch. Koszulkę i szorty miał całe ubrudzone ziemią tak żyzną,

ciepłą i ciemną, że przypominała odchody. Nawet zapach był podobny.

Cal pozbierał się, przebiegł pięć kroków, trawa znów owinęła mu się wokół nóg, zupełnie jakby wsadził je w zwój drutu kolczastego, i niech to diabli, znowu upadł. W głowie mu brzęczało, może wypełniała ją chmara much plujek?

- Cal! - krzyknęła Betty najgłośniej, jak potrafiła. - Cal, przestań! Przestań!

Tak, opamiętaj się... Bo jeśli się nie opamiętasz, zaczniesz krzyczeć „na pomoc!”, jak ten dzieciak. Pieprzony duet!

Odetchnął głęboko. Serce biło mu jak szalone. Czekał, aż brzęczenie w głowie ustanie, ale prawie natychmiast zorientował się, że to nie głowa jest winna. Tu naprawdę są muchy, cała chmara, widział, jak śmigają to w tę, to w tamtą stronę, zwabione czymś, co znajduje się przed nim, na wprost, za kołyszącą się zielonożółtą kurtyną traw.

Wsunął w nią rękę i rozchylił.

W błocie, na boku, leżał pies. Kiedyś był to zapewne golden retriever. Spod pokrywającej go ruchomej warstwy błękitnawych much prześwitywało rudobrązowe futro. Z pyska sterczał spuchnięty język, martwe ślepia niemal wypłynęły z oczodołów. Przez futro widać też było obrozę i błyszczącą w słońcu plakietkę. Cal jeszcze raz spojrzał na psi jęzor, pokryty zaschniętą zielonobiałą wydzieliną, wolał nie myśleć dlaczego. Zmierzwiona, matowa, pokryta muchami sierść wyglądała jak brudny złoty dywanik przykrywający stos kości. Jej kłębki, małe kłębki, fruwały dookoła, unoszone ciepłym wiatrem.

Opanuj się. Taka była jego pierwsza myśl, wypowiedziana uspokajającym głosem ojca. Naśladowanie tego głosu mu pomogło. Spojrzał na zapadnięty brzuch psa i dostrzegł energiczny ruch. Aż gotowało się w nim od robactwa. Takiego, jakie widział na siedzeniu pasażera tego przekłętego priusa, pożerającego niedojedzone hamburgery. Hamburgery sprzed dobrych kilku dni. Ktoś je zostawił, odszedł i już nie wrócił. Już nie...

Opanuj się, Calvinie, usłyszał głos w głowie. Jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla siostry.

- Opanuję się - obiecał ojcu. - Opanuję.

Wyplątał stopy i łydki z trawiastych więzów. Prawie nie czuł szczypania mnóstwa drobnych rozcięć, spowodowanych przez ostrą trawę. Wstał.

- Becky, gdzie jesteś?!

Czekał dłuższą chwilę, wystarczająco długą, by serce wyskoczyło mu z piersi i sięgnęło gardła. Lecz w końcu, z tak nieprawdopodobnie daleka, dobiegł głos siostry:

- Tu jestem! Cal, co mamy robić? Zgubiliśmy się.

Zamknął oczy, ale zaraz je otworzył. Dzieciak. Dzieciak też powtarza, że się zgubił. I pomyślał jeszcze: Dzieciak, *c'est moi*. To było niemal zabawne.

- Będziemy wołali - powiedział, robiąc krok w kierunku, z którego doleciał głos. - Będziemy wołali, aż się spotkamy.

- Strasznie chce mi się pić. - Becky jakby trochę się do niego zbliżyła, ale Cal nie ufał już swoim wrażeniom. Nie, nie i nie.

- Mnie też - przyznał. - Ale wydostaniemy się stąd, Beck. Tylko nie wolno nam stracić głowy.

O tym, że sam stracił głowę, tylko trochę i tylko na chwilę, nie zamierzał powiedzieć jej ani teraz, ani nigdy. To miał być jego sekret. W końcu siostra nie wyjawiała mu, jak miał na imię chłopak, który wpędził ją w kłopoty, więc można powiedzieć, że tylko wyrównuje rachunki. Ona ma swoje tajemnice, a teraz on ma swoje.

- Co z dzieciakiem?!

Chryste, znów ledwo ją słyszał. Cal był tak przerażony, że odkrzyknął bez wahania, szczerze i najgłośniej, jak potrafił:

- Pieprzyć dzieciaka, Becky! Teraz chodzi o nas!



W wysokiej trawie zlewały się kierunki i zlewał się czas: świat Dalego z dźwiękiem Dolby. Ganił się jak dzieciaki zbyt uparte, by dać sobie spokój z tym przeklętym berkiem i wrócić do domu na kolację. Becky to oddalała się od niego, to przybliżała, ale ani razu nie udało mu się jej zobaczyć. Od czasu do czasu odzywał się mały, błagał o pomoc, raz z tak, wydawałoby się, bliska, że Cal skoczył przed siebie z wyciągniętymi rękami, pewny, że tym razem szczył mu nie ucieknie, ale nie złapał żadnego szczyła, za to trafił na wronę z oderwanym łbem i skrzydłem.

Tu nie ma dnia ani nocy, pomyślał Cal, jest jedynie wieczne popołudnie, ale gdy tylko ta myśl zaświtała mu w głowie, dostrzegł, że niebo ciemnieje i że nie widzi już tak wyraźnie mokrej ziemi pod stopami.

Gdybyśmy rzucali cienie, teraz by się wydłużały i moglibyśmy przynajmniej oboje iść w tym samym kierunku, pomyślał. Ale nie rzucali cieni, nie w tak wysokiej trawie. Spojrzał na zegarek. Nie zdziwiło go, że stanął, choć był to model, który sam się nakręca. Trawa go zatrzymała. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Jakieś złowrogie wibracje, jakieś paranormalne gówno wprost z *Fringe: na granicy światów*.

Becky zaszlochała wpół do niczego.

- Hej, Beck... Beck?!

- Muszę odpocząć, Cal. Muszę usiąść. Tak strasznie chce mi się pić... i mam bóle.

- Skurcze?

- Chyba tak. O Boże, co będzie, jeśli poronię w tej trawie?

- Usiądź, odpocznij, wszystko będzie dobrze.

- Dzięki, doktorze, niczego inne... - Becky nagle zamilkła, a potem krzyknęła przeraźliwie: - Odejdź! Wynos się. NIE... NIE DOTYKAJ MNIE!

Cal, tak zmęczony, że nie był w stanie biec, mimo wszystko pobiegł.



Nawet wstrząśnięta, nawet przerażona, Becky rozpoznała szaleńca, gdy tylko wyłonił się zza zasłony traw, ubrany w strój turysty: dockersy i ubłocone mokasyny. Jego prawdziwą naturę zdradzała jednak turystyczna koszulka. Choć cała pokryta była plamami o barwie rdzy, prawie na pewno zaschniętą krwią, nie zdołały do końca zasłonić kłębka czegoś, co wyglądało jak spaghetti. Wiedziała, co zostało wypisane nad nim: NAJWIĘKSZY NA ŚWIECIE KLĘBEK SZNURKA, CAWKER CITY, KANSAS. Czyż nie ma w walizce identycznej koszulki, tylko czystej i starannie złożonej?

Tata Tobina. We własnym, brudnym od soku trawy, ubłoconym ciele.

- Odejdź! - krzyknęła, zasłaniając brzuch splecionymi dłońmi. - Wynoś się. Nie dotykaj mnie!

Tatusiek uśmiechnął się szeroko. Policzki porastała mu niechlujna szczecina, usta plamiła czerwień.

- Uspokój się. Chciałabyś poznać moją żonę? Albo... hej, posłuchaj, może chciałabyś się stąd wydostać? To całkiem proste.

Becky gapiła się na niego z szeroko otwartymi ustami. Cał krzyczał coś, ale w tej chwili nie poświęcała mu ani odrobiny uwagi.

- Jeśli wiesz, jak się stąd wydostać, to dlaczego do tej pory się nie wydostałeś? - spytała.

Zachichotał.

- Dobrze mówisz, ale wyciągasz niewłaściwe wnioski. Za chwilę dołączę do syna. Żonę już znalazłem. Chcesz ją poznać?

Becky nie odpowiedziała.

- W porządku. - Facet odwrócił się i ruszył przed siebie, rozgarniając trawę. Wkrótce w niej zniknie, jak zniknął jej brat. Becky poczuła ukłucie paniki. Ma do czynienia

z szaleńcem, wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby się o tym przekonać, lub choćby posłuchać, jak formułuje przekaz werbalny, ale przynajmniej jest człowiekiem.

Mężczyzna zatrzymał się, spojrział na nią i uśmiechnął się szeroko.

- Och, zapomniałem się przedstawić. Moja wina. Ross Humbolt, do usług, pracuję w nieruchomościach. W Poughkeepsie. Żona ma na imię Natalie, a synek Tobin. Słodki dzieciak, bardzo inteligentny. Ty jesteś Becky, siostra Cala. To twoja ostatnia szansa, Becky. Idziesz ze mną albo umierasz. - Spojrział jej na brzuch. - Razem z dzieckiem.

Nie ufaj mu.

Nie ufała mu, ale za nim poszła. Utrzymując dystans, który uznała za bezpieczny. Nie masz pojęcia, dokąd idziesz.

- Becky? Becky! - krzyczał Cal. Z daleka, z bardzo daleka. Dakoty Północnej? Może nawet Manitoby? Chyba mogłaby mu odpowiedzieć, ale strasznie piekło ją gardło.

- Zgubiłem się w trawie jak wy dwoje. Ale już nie jestem zgubiony. Pocałowałem kamień. - Mężczyzna odwrócił się i zmierzył ją łobuzerskim spojrzeniem szalonych oczu. - Więcej, ja go przytuliłem. Ooooch, wtedy dopiero to widzisz. Wszystkie te roztańczone istoty. Widzisz wszystko. Jasno jak w dzień. Z powrotem na szosę? Ależ nic łatwiejszego! Jeśli mówię, to mówię! Moja żona jest tuż, niedaleko. Musicie się poznać. Jest naprawdę słodka. *Zastanów się nad tym, że każdy zna stan ów, gdy człowiek z rozpaczy...* resztę chyba pamiętasz. - Puścił do dziewczyny oko.

W liceum Becky chodziła na zajęcia nazywane samoobrona młodych kobiet. Próbowwała przypomnieć sobie to, czego ją tam nauczono... i nie mogła. Jedyne, co zapamiętała...

Głęboko w prawej kieszeni szortów miała klucze na kółku. Najdłuższy, najcięższy z nich otwierał drzwi domu, w którym oboje dorastali, ona i brat. Oddzieliła go teraz

od reszty i umieściła między palcami wskazującym i środkowym.

- Oto i ona! - oznajmił radośnie Ross Humbolt, rozgarniając oburącz trawę, jak odkrywca nowych lądów na starym filmie. - Przywitaj się z gościem, Natalie. Ta młoda dama będzie miała dzidziusia!

Ziemia za rozgarniętą przez niego kurtyną trawy pokryta była plamami krwi Becky bardzo chciała się zatrzymać ale nie mogła nogi niosły ją same a ten człowiek nawet odsunął się na bok jak bohater innych starych filmów mówiący „Panie przodem laleczko” przed wejściem do szpanerskiego klubu w którym jazzowa kapela odwała swój kawałek tylko to nie był szpanerski nocny klub lecz krąg wydeptanej trawy i leżąca w nim kobieta Natalie Humbolt jeśli rzeczywiście tak się nazywała skręcone ciało wybałuszone oczy wysoko podciągnięta sukienka ukazująca dziury po wyrwanych kawałkach mięsa na udach Becky pomyślała że teraz wie dlaczego Ross Humbolt z Poughkeepsie ma takie czerwone wargi a jedno z ramion Natalie wyrwane z barku leżało na trawie dobre trzy metry od ciała pognieciona trawa już się tam prostowała z ramion też wyrwano kawałki czerwień w ranach była jeszcze wilgotna bo... bo...

Bo ona wcale nie jest martwa od dawna, pomyślała Becky. Słyszeliśmy, jak krzyczy. Słyszeliśmy, jak umiera.

- Rodzinka spędziła tu trochę czasu - wyznał pan Humbolt jowialnie, tonem towarzyskiej rozmowy z bliskim przyjacielem, jednocześnie zaciskając poplamione sokiem trawy palce na gardle dziewczyny. Czknął. - Człowiek szybko robi się głodny. Hamburgerów tu nie stawiają, niestety. Można pić wodę z ziemi, zgrzyta w zębach i jest strasznie, obrzydliwie ciepła, ale to szybko przestaje przeszkadzać, tylko że dni mijają jeden za drugim. Ale teraz już się najadłem. O tak, potąd się najadłem. - Zakrwawione usta dotknęły ucha Becky, ostry zarost połaskotał jej skórę. - Chcesz zobaczyć kamień? Chcesz położyć się na nim

naga, poczuć mnie w sobie pod wirującymi gwiazdami, gdy trawa wyśpiewuje nasze imiona? Odrobina poezji nigdy nie zaszkodzi, co?

Chciała nabrać powietrza, chciała krzyknąć, ale powietrze nie płynęło już tchawicą, w płucach miała nagłą, nieoczekiwaną, straszną pustkę. Ross Humbolt wbił kciuki w jej gardło, miażdżył mięśnie, ściętna, tkanę miękką. Uśmiechał się obrzydliwie, zęby miał poplamione czerwienią, a język żółtozielony. W jego oddechu czuła krew, a także świeżo skoszony trawnik.

- Trawa ma ci dużo do powiedzenia, musisz tylko nauczyć się jej słuchać. Musisz nauczyć się, co to naprawdę znaczy: Wysoka Trawa, skarbie. Kamień to wie. Kiedy go zobaczysz, zrozumiesz. Zrozumiesz wszystko. W dwa dni dowiedziałem się od niego więcej niż przez dwadzieścia lat nauki.

Wygiął ją w łuk, do bólu kręgosłupa. Była jak wysokie źdźbło trawy na wietrze. Jej twarz znów owiał oddech o woni skoszonej łąki.

- Dwadzieścia lat nauki i tyle z tego miałem, co życie w cieniu. - Ross znów się uśmiechnął. - Dobry stary rock, nie? Bob Dylan. Dziecko Jehowy. Z Hibbing bard^[2] to nie żaden żart. Coś ci powiem, ten kamień pośrodku pola jest jak kamień węgielny dobrego starego rocka, tylko spragniony. Żył sobie w cieniu, nim czerwoni ludzie zaczęli polować na kasnaskich Osage Cuestas, żył tak sobie, odkąd podczas ostatniego zlodowacenia przytoczył go tu lodowiec, i, och, moje dziecko, jest taki cholernie spragniony...

Becky chciała wbić mu kolano w jądra, ale to już był dla niej za duży wysiłek. Nie mogła zrobić nic więcej, tylko podnieść nogę o parę centymetrów... i opuścić. Podnieść stopę, opuścić stopę. Podnieść drugą, opuścić. Tupała w zwolnionym tempie, jak koń gotowy do wyjścia z boksu.

Pod powiekami, na samej granicy pola widzenia, to wybuchały, to gasły czarne i srebrne iskry. Wirujące gwiazdy, pomyślała. Dziwnie to fascynujące, takie narodziny

i śmierć obcych gwiazdozbiorów. Wkrótce sama zgaśnie... wiedziała o tym, ale ta wiedza wcale nie wydawała jej się straszna. Nie wymagała natychmiastowych działań.

Cał wykrzykiwał jej imię skądś, z bardzo daleka. Jeśli przedtem był w Manitobie, teraz wołał ją z kopalni w Manitobie.

Dziewczyna zacisnęła dłoń na kółku na klucze. Ich ząbki wbiły jej się w skórę. Gryzły.

- Krew to dobrze, a łzy jeszcze lepiej - powiedział Ross. - Dla takiego starego spragnionego kamienia jak on. A kiedy będę cię na nim pieprzył, dostanie i to, i to. Tylko musimy to załatwić szybko. Nie chcę pieprzyć cię na oczach dziecka.

Jego oddech cuchnął.

Becky wyrwała rękę z kieszeni. Czubek klucza do domu sterczał spomiędzy palców, wskazującego i środkowego. Uderzyła Rossa Humbolta pięścią w twarz. Chciała, żeby się odchylił, nie dyszał na nią, dość miała tego zgniętego smrodu. Jej uderzenie było słabe, niemal jak przyjacielski szturchaniec, ale klucz rozciął mu policzek pod lewym okiem. Z długiego skaleczenia popłynęła krew.

Ross drgnął i cofnął głowę. Rozluźnił uścisk, przez jedną chwilę wciśnięte w gardło kciuki nie tamowały jej oddechu. Ale niemal natychmiast złapał ją jeszcze mocniej, jednak dziewczynie udało się odetchnąć raz, kurczowo, lecz głęboko. Iskry... wirujące gwiazdy... rozbłyskujące i migające na krawędzi jej pola widzenia zbladły, oprzytomniała, oprzytomniała tak gwałtownie, jakby ktoś wylał jej na głowę kubel zimnej wody. Zamachnęła się i wbiła klucz w oko mężczyzny. Pod kostkami palców poczuła kość. Udało jej się przebić rogówkę, sięgnąć czubkiem klucza płynnego środka gałki ocznej.

Nie krzyknął, tylko szczerknął trochę jak pies, a trochę jak wilk. Szarpnął dziewczynę w bok, usiłując pozbawić ją równowagi. Przedramiona miał spalone słońcem, skóra na nich się łuszczyła, a z bliska widać było także poparzony,

obłażący nos. Skrzywił się, ukazując poplamione na różowo i zielono zęby.

Ręka Becky opadła bezwładnie. Puściła klucze. Wisiały na tym wbitym w ranę, podzwaniały, ocierały się o zarośnięty policzek. Krew zalała lewą część twarzy pana Humbolta, przebite oko było jak ziejąca studnia czerwieni.

Trawa zachwiała się, zaszeleściła głośniej. Powiał wiatr, wysokie łądygi chłostały Becky po nogach i plecach.

Kopnął ją kolanem w brzuch, poczuła to, jakby dostała kłodą drewna. Poczwała ból, a tam, niżej, w podbrzuszu, także coś gorszego od bólu. Skurcz i skręt mięśni, jakby miała w brzuchu zwój sznura, za który ktoś pociągnął mocniej, niż powinien.

- Och... och, Becky. Twój tyłek należy do mnie... do mnie i do trawy!

Kopnął ją jeszcze raz. I jeszcze, a każdemu kopniakowi towarzyszył groźny wybuch zabójczego bólu. Zabija dziecko, pomyślała dziewczyna. Coś pociekło jej po wewnętrznej stronie lewego uda. Może krew, może mocz, tego nie wiedziała.

Tańczyli tak razem, trzymając się w ramionach, kobieta w ciąży i szalencie. Chwiejąc się i zataczając, dreptali wokół ciała Natalie Humbolt. I przez cały czas Becky była świadoma tego, że po jej lewej ręce leży trup, od czasu do czasu w polu jej widzenia pojawiały się blade, krwawe uda z wyszarpanymi kawałkami ciała, podwinięta, pognieciona dzinsowa spódnica i poplamione sokiem z trawy niemodne majtki. A ramię? Co z ramieniem leżącym na wydeptanej trawie tuż pod stopami Rossa Humbolta? Brudnym, wyrwanym z ciała ramieniem (Jak je wyrwał? Oberwał jak udko kurczęcia?) z ręką o lekko wygiętych palcach i brudem pod paznokciami?

Becky rzuciła się na Rossa, uderzyła w niego całym ciężarem ciała. Cofnął się o krok, nadepnął na oderwane ramię, a ono obróciło się pod naciskiem jego buta. Upadł z gniewnym, zwierzęcym chrząknięciem, pociągając Becky

za sobą. Dopiero uderzając o ziemię, puścił jej szyję. Rozległ się wyraźnie słyszalny szcęk zębów.

Becky wylądowała miękko na jego tłustym brzuszku tatuśka z przedmieścia. Odepchnęła się od niego, próbowała skryć w trawie, uciec na czworakach. Tylko że nie była w stanie poruszać się szybko. Wydawało jej się, że jej wnętrzności są strasznie ciężkie, napięte, pulsujące, jakby połknęła wielką kulę jakiegoś lekarstwa. I miała mdłości.

Mężczyzna złapał ją za kostkę. Pociągnął. Upadła na i tak obolały brzuch. Poczowała przeszywający ból, jakby coś tam, w środku, rozrywało się na części, jakby pękło. Uderzyła brodą w wilgotną ziemię. Przed oczami zatańczyły czarne plamy.

- A ty dokąd, Becky DeMuth? - Nie podała mu nazwiska. Nie mógł go znać. - Przecież znowu cię znajdę. Trawa wskaże mi, gdzie jesteś, a małe tańczące ludziki zaprowadzą mnie wprost do celu. No, chodź, chodź do mnie. Nie musisz już jechać do San Diego. I nie musisz zastanawiać się, co zrobić z dzieckiem. To już załatwione.

Becky odzyskała jasność widzenia. Tuż przed nią, na wydeptanej trawie, leżała pleciona damska torebka. Jej zawartość się rozsypała, a wśród przeróżnych drobiazgów były także nożyczki do manicure'u, malutkie, tak małe, że bardziej przypominały szczypczyki. Ich ostrza pokryte były lepką krwią. Nie chciała nawet myśleć o tym, do czego użył ich Ross Humbolt z Poughkeepsie, ani o tym, dlaczego ona zamierza ich użyć.

A jednak zacisnęła na nich dłoń.

- Chodź tu, suko. Już. - Ross poderwał ją na nogi.

Odwróciła się i rzuciła na niego z zaciśniętymi w garści nożyczkami do manicure'u, własnością Natalie Humbolt. Rozcięła mu nimi twarz, raz, drugi i trzeci, po trzecim razie zaczął krzyczeć... Był to krzyk bólu, ale zanim z nim skończyła, zmienił się w donośny, radosny śmiech. Becky

pomyślała: Dzieciak też się śmiał, a potem przestała myśleć. Przestała myśleć aż do wschodu księżyca.



W gasnącym świetle dnia Cal siedział na trawie, ocierając łzy.

Nie żeby się po prostu popłakał, nic z tych rzeczy. Tylko długo chodził, szukał Becky, wołał ją, ale od dawna mu nie odpowiadała, a potem usiadł, oczy go zaczęły szczypać, no i miał kłopoty z oddychaniem.

Zmierzch był wspaniały. Niebo przybrało surową, niemal czarną barwę, a na zachodzie, za kościołem, płonęło piekielną czerwienią rozżarzonych węgli. Widział je od czasu do czasu, gdy w przypiływie energii podskakiwał i rozglądał się, kiedy udawało mu się przekonać samego siebie, że rozglądanie się ma jeszcze jakiś sens.

Buty miał przemoczone i przez to ciężkie. Rozbolały go stopy, swędziała wewnętrzna strona ud. Zdjął prawy but i wylał z niego brudną wodę. Nie nosił skarpetek, skórę miał białą, pomarszczoną jak u jakiegoś utopionego stworzenia.

Zdjął lewy but, z niego też zamierzał wylać wodę, ale zawahał się, a potem podniósł go do ust, odchylił głowę i wypił ją, brudną, ziarnistą, śmierdzącą jego własną nogą. Czuł, jak zwilża mu język.

Słyszał Becky i Mężczyznę gdzieś tam daleko, wśród traw. Słyszał Mężczyznę przemawiającego radosnym głosem pijaka, jakby wygłaszał kazanie, choć mógł rozróżnić tylko niektóre słowa. Chodziło o jakiś kamień, tańczące istoty, coś o pragnieniu. Cytat z jakiejś folkowej piosenki... jak to szło? *Dwadzieścia lat pisania i dali ci cmentarną szychtę?* No nie, nie całkiem tak, ale blisko. Folk nie był tym, czym się interesował, jeśli już czegoś słuchał, to raczej RUSH. Przez kraj płynęli w rytm *Permanent Waves*.

Potem usłyszał, jak tych dwoje szarpie się, jak walczy w trawie, słyszał zdławione okrzyki siostry i bełkot Mężczyzny, a potem okrzyki... okrzyki dzikiej wesołości, ale to nie Becky krzyczała, tylko on.

W tym momencie Cal dostał ataku hysterii, biegał, podskakiwał, wrzeszczał najgłośniej, jak potrafił. Trochę trwało, nim przestał szaleć, odzyskał panowanie nad sobą, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Dyszał, w gardle mu zaschło, lecz całą uwagę poświęcił ciszy.

Trawa szumiała.

- Becky! - zawołał ochryplym głosem. - Beck?!

Odpowiedział mu tylko prześlizgujący się wśród łodyg trawy wiatr.

Zrobił kilka kroków. Zawołał. Usiadł. Starał się nie płakać.

Zmierzch był naprawdę przepiękny.

Cal po raz setny przeszukał kieszenie, w beznadziejnej nadziei, że odkryje w którejś z nich suchy, jędrny kawałek juicy fruit. Kupił całą paczkę jeszcze w Pensylwanii, ale oboje z Becky skończyli ją, zanim przekroczyli granicę Ohio. Juicy fruit to strata pieniędzy. Słodki cytrynowy smak znika prawie od razu, ruszysz szczękami cztery razy...

...poczuł pod palcami sztywny kartonik. Wyjął go. Zapałki. Cal nie palił, ale zapałki dawali za darmo w małym sklepiku z alkoholem, po przeciwnej stronie drogi niż smok z Kaskaskii w Vandalii. Pudełko zdobiło zdjęcie dziesięciometrowego stalowego stwora. Zapłacili za garść żetonów, a potem przez prawie całe popołudnie wrzucali je do szczeliny i przyglądali się, jak z nozdrzy bucha mu gazowy płomień. Cal wyobraził sobie teraz smoka pośrodku pola traw i aż zakręciło mu się w głowie na rozkoszną myśl, że jego oddech mógłby je spopielić...

Obrócił zapałki w dłoni. Postukał w kartonik paznokciem kciuka.

Spal pole, pomyślał. Spal to pieprzone pole. Wysoka trawa, podpalona, pójdzie z dymem jak... jak siano.

Wyobraził sobie rzekę trawionej ogniem trawy, unoszące się w powietrzu, strzelające na wietrze iskry i pasemka spalonych chwastów. Obraz ten miał w sobie taką siłę, że kiedy Cal zamknął oczy, niemal czuł ten zapach, w jakiś sposób przyjemną woń późnego lata, wypalanych roślin.

A jeśli płomienie obróca się przeciwko niemu? A jeśli dopadną kryjącą się gdzieś tam Becky? A jeśli Becky straciła przytomność? Czy odzyska ją, czując zapach swoich tłących się włosów?

Nie. Becky potrafi uniknąć pożaru. On też to potrafi. Cały ten pomysł opierał się na przekonaniu, że musi zranić trawę, pokazać jej, że koniec tego dobrego, że nie ma zamiaru znosić tego całego gówna, a wtedy trawa go wypuści... wypuści ich oboje. Ilekroć jej wiecheć gładził go po policzku, miał wrażenie, że go drażni – albo i gorzej, kpi sobie z niego.

Staął na obolałych nogach. Szarpnął wiecheć trawy. Była mocna, wytrzymała i ostra, raniła mu rękę, lecz udało mu się ją wyrwać. Ułożył z niej stos, przyklęknął jak penitent przy swoim prywatnym ołtarzu. Oderwał zapałkę, złożył kartonik, przyciskając ją nim do draski, i pociągnął. Błysnął płomień; twarz trzymał tak blisko niego, że odetchnął gorącymi oparami siarki.

Zapałka zgasła, gdy przykładął ją do mokrej, grubej trawy; łodygi, przesycone sokami, ociekały niewysychającą nigdy rosą.

Drżącymi rękami zapalił następną.

W zetknięciu z trawą zasyczała i zgasła. Czy Jack London nie napisał o tym kiedyś jakiegoś opowiadania?

Następna. Po niej jeszcze jedna. Każda kolejna w zetknięciu z trawą puszczała chmurkę siarczanego dymu i gasła z cichym „pufff”. Płomień jednej z nich nawet do niej nie dotarł i zgasł w podmuchu lekkiego wiatru, nim naprawdę zapłonął.

I wreszcie, kiedy zostało mu ich tylko sześć, zapalił tę szóstą, a potem, w rozpaczy, podpalił nią pozostałe. Mały, ale intensywnie biały płomień rzucił na stos nadpalonej, choć ciągle wilgotnej trawy. Opadł na zielonożółte rośliny, polizał je jaskrawym jęzorem. Wypalił dziurę aż do błota, wpadł w nie i zgasł.

Cał w przyływie wstrętnej, beznadziejnej rozpaczy rozkopał stos. Tylko w ten sposób zdołał powstrzymać się od płaczu.

Usiadł nieruchomo z zamkniętymi oczami, opierając głowę na kolanie. Był zmęczony, bardzo chciał odpocząć, położyć się na wznak, przyglądać rozbłyskującym na niebie gwiazdom, lecz jednocześnie wcale nie chciał kłaść się na lepkiem błocie, nie chciał ubrudzić nim włosów, nie chciał, żeby przemoczyło mu koszulę na plecach. I tak był już wystarczająco brudny. Nagie nogi miał poznaczone krwawymi pasami w miejscach chłostanych przez ostrą trawę. Pomyślał, że może powinien pójść w stronę drogi, najwyższy czas, za chwilę robi się ciemno, ale nie mógł nawet wstać.

A jednak w końcu wstał, a skłonił go do tego rozbrzmiewający nagle daleki dźwięk alarmu samochodowego. Ale nie zwykłego alarmu. Ten nie pisał „pi! pi! pi!” jak większość z nich, tylko wył i trąbił na zmianę. O ile wiedział, tylko stare mazdy wyły i trąbiły w ten sposób, kiedy się do nich włamywano, a dodatkowo migaly jeszcze rytmicznie reflektorami.

Mazdy takie jak ta, którą przemierzali kraj, on i Becky.

„Uauuu... biiip... uauuu... biiip...”.

Bolały go mięśnie nóg, mimo to nawet podskoczył. Szosa znów była bliżej (co nie miało żadnego znaczenia) i tak, widział migające światła. Same światła, nic więcej, ale nie musiał widzieć nic więcej, by wiedzieć, co się dzieje. Ludzie mieszkający przy tym kawałku szosy musieli wiedzieć wszystko o polu traw rozciągającym się naprzeciw kościoła i zrujnowanej kręgielni. Musieli wiedzieć, jak skłonić

dzieciaki, by za skarby świata nie przechodziły przez jezdnię. A kiedy jakiś turysta słyszy wołanie o pomoc i odwala numer dobrego samarytanina, miejscowi włamują się do samochodu i biorą z niego, co warto wziąć.

Pewnie kochają to cholerne pole. I boją się go. I czczą je. I...

Próbował przerwać łańcuch myśli przed logiczną konkluzją, ale nie potrafił.

I... składają mu ofiary. A to, co znajdą w bagażnikach i schowkach, to po prostu premia.

Pragnął towarzystwa Becky. Dobry Boże, jak strasznie pragnął towarzystwa Becky. Dobry Boże, jak strasznie chciał coś zjeść. Nie potrafił zdecydować, czego chce bardziej.

- Becky? Becky!

Cisza. Na niebie świeciły już gwiazdy.

Cał opadł na kolana, wcisnął ręce w błoto i nabrał w nie trochę wody. Wypił ją, starając się przesiać przez zęby grudki ziemi. Gdyby Becky tu ze mną była, znaleźlibyśmy jakieś wyjście z sytuacji, pomyślał. Wiem, że by się nam udało. Prawie bliźniaki, dwie głowy jak jedna.

Wypił jeszcze trochę wody, tym razem już nie filtrując jej przez zęby. Połknął sporą porcję ziemi, a także coś, co najwyraźniej się wilo, owada, może niedużego robaczka. Nawet jeśli, to co z tego? Białko to białko, nie?

- Nigdy jej nie znajdę - powiedział głośno. Patrzył na prawie czarną, kołyszącą się leniwie trawę. - Bo ty mi nie pozwolisz, prawda? Trzymasz z dala od siebie ludzi, którzy się kochają, co? Bo to jest najważniejsze. Będziemy tak chodzili w kółko, wołając się nawzajem, póki nie oszalejemy.

Tylko że Becky przestała wołać. Jak mamuśka, Becky cholernie...

- Wcale nie musi być tak - powiedział cichy, czysty, wyraźny głos.

Cal drgnął. Rozejrzył się. Obok niego stał mały chłopiec w ubraniu powalonym błotem. Poważną buzię też miał strasznie brudną. W ręku, za żółtą łapę, trzymał martwą wronę.

- Tobin? - szepnął Cal.

- Tak, to ja. - Chłopiec podniósł wronę do ust i wbił zęby w jej żołądek. Trzasnęły pióra. Wrona skinęła martwym łebkiem, jakby chciała powiedzieć: „Słusznie, bierz się do roboty, mięso to mięso, najważniejsza rzecz”.

Cal gotów był przysiąc, że po tym ostatnim podskoku nie jest już zdolny do wykonania żadnego gwałtownego ruchu, lecz przerażenie rządzi się swoimi prawami, więc wykonał ruch, i to bardzo gwałtowny. Dopadł chłopca, wyrwał mu wronę z ręki, nie zwracając szczególnej uwagi na wylewające się z jej rozdartego żołądka wnętrzności. Nie mógł jednak nie zauważyć przyklejonego do kącika ust chłopca pióra. Nawet w zapadającej ciemności widać je było bardzo wyraźnie.

- Nie możesz tego jeść! Jezu, dzieciaku! Oszalałeś?

- Nie jestem szalony, tylko głodny. Wrony wcale nie są takie złe. Nie mogłem jeść Freddy'ego. Bo go kochałem, wiesz? Tata zjadł trochę, ale ja nie. Oczywiście wtedy jeszcze nie dotknąłem kamienia. Kiedy dotkniesz kamienia... właściwie to jest tak, jakbyś się do niego przytulał... to widzisz. Wiesz o wiele więcej. Ale przez to robisz się jeszcze głodniejszy. A, jak mawia tata, z mięsa jesteś i mięso jeść musisz. Poszliśmy do kamienia, a potem się rozstaliśmy, ale powiedział, że znajdziemy się zawsze, kiedy będziemy tego chcieli.

Cal ciągle był o krok za chłopcem.

- Freddy?

- Nasz pies. Świetnie łapał frisbee, zupełnie jak w telewizji. Łatwiej tu znaleźć coś, kiedy już jest martwe. Pole nie porusza martwych rzeczy. - Oczy Tobina błyszczały w gasnącym świetle. Przyglądał się martwej wronie, którą Cal ciągle trzymał w ręku. - Zdaje mi się, że ptaki trzymają

się z dala od trawy. One wiedzą, ostrzegają się nawzajem. Ale niektóre nie słuchają ostrzeżeń. Chyba głównie wrony, bo jest ich tu całkiem sporo. Martwych. Wystarczy pospacerować chwilę, żeby jakąś znaleźć.

- Tobinie... to ty nas tu zwabiłeś? Przyznaj się, nie będę się wściekał. Założę się, że ojciec cię do tego namówił.

- Słyszeliśmy, jak ktoś woła o pomoc. Mała dziewczynka. Krzyczała, że się zgubiła. No więc weszliśmy. Tak to działa.

- Chłopiec umilkł na chwilę, po czym dodał: - Założę się, że tata zabił twoją siostrę.

- Skąd wiesz, że to moja siostra?

- Kamień - odparł Tobin. - Kamień uczy cię słuchać trawy, a wysoka trawa wie wszystko.

- Więc ty musisz wiedzieć, czy żyje, czy nie.

- Mogę się dowiedzieć, jeśli chcesz. A właściwie nie, mogę więcej. Mogę ci pokazać. Chcesz zobaczyć? Na własne oczy? No to chodź ze mną.

Nie czekając na odpowiedź Cala, dzieciak odwrócił się i wszedł w trawę. Cal wyrzucił martwą wronę i pobiegł za nim. Wolał nie tracić go z oczu nawet na sekundę, bo gdyby go stracił, to pewnie łaziłby w kółko bez końca i już nigdy nie znalazł. „Nie będę się wściekał”, powiedział Tobinowi, ale był wściekły. Naprawdę wściekły. Nie aż tak, żeby zabić gówniarza, oczywiście, że nie (najprawdopodobniej oczywiście, że nie), ale nie miał zamiaru spuścić z oka tego barana, przewodnika do rzeźni.

Tylko że niestety spuścił, bo na niebie ponad trawą pojawił się księżyc, pomarańczowy, rozdęty. Wygląda, jakby był w ciąży, pomyślał Cal, a kiedy znów spojrzął przed siebie, chłopiec zniknął. Cal zmusił do biegu swoje biedne, zmęczone nogi. Przedzierał się przez trawę, zaczerpnął powietrza, chciał krzyknąć. I nagle nie było już trawy, przez którą trzeba by się przedzierać. Stał na polanie, prawdziwej polanie, a nie jakimś wydeptanym kawałku pola. A pośrodku polany z ziemi wyrastał wielki czarny kamień. Kamień wielkości dużego pick-upa, cały wyrysowany

w patykowate sylwetki tańczących ludzików. Białych tańczących ludzików. Wydawało się, że latają. Wydawało się, że się poruszają.

Tobin stał obok kamienia. Położył na nim dłoń, dotknął go i zadrżał. Cal nie sądził, by trząśnięcie ze strachu. Raczej z rozkoszy.

- O rany, ale to fajne. Chodź. Spróbuj, człowieku.

Skinął na Cala ręką.

Cal podszedł do kamienia.



Alarm samochodowy popiskiwał i trąbił, a potem przestał. Becky słyszała go, lecz dźwięk docierał tylko do jej uszu, już nie do mózgu. Pełzła. Pełzła, nie myśląc o niczym. Gdy tylko chwycił ją skurcz, zamierała z czołem przyciśniętym do ziemi i uniesionym tyłkiem, jak wierny oddający hołd Allahowi, a gdy puszczał, pełzła dalej. Ubłocone włosy kleiły jej się do twarzy, nogi miała mokre od tego, co z niej wyciekało... czymkolwiek było. Czowała, że coś z niej wycieka, ale nie myślała o tym, tak jak nie myślała o alarmie samochodowym. Pełznąąc, zlizywała wodę z trawy, obracała głowę to w prawo, to w lewo, wysuwała język niczym wąż, chlip, chlip. Zlizywała wodę z trawy, wcale o tym nie myśląc.

Wszedł księżyc, wielki i pomarańczowy. Przekrzywiła głowę, żeby na niego popatrzeć, a wtedy przyszedł najgorszy skurcz. Taki, który nie mija. Becky przewróciła się na wznak, zdarła szorty i majtki, jedno i drugie zmoczone czymś ciemnym. Wtedy wreszcie zaświtała jej w głowie czysta, jasna myśl, oświetliła jej umysł niczym rozczłonkowana, jaskrawa, gorąca błyskawica.

Dziecko!

Leżała w trawie na wznak z zakrwawionym ubraniem zaplątanym wokół kostek nóg i dłońmi między nogami. Przez jej palce przeciekał lepki śluz. Przyszedł kolejny,

paraliżujący skurcz, a między palcami poczuła coś okrągłego i twardego. Czaszkę. Pasującą do jej dłoni ze słodką doskonałością. To Justine (jeśli będzie dziewczynka) lub Brady (jeśli będzie chłopiec). Okłamywała ich wszystkich, twierdząc, że jeszcze się nie zdecydowała. Od samego początku wiedziała, że zatrzyma dziecko.

Chciała krzyczeć, lecz nie mogła, wydała tylko ciche „aaaachchch”... Księżyc przyglądał jej się, przekrwione smocze oko. Parła jak najmocniej, brzuch miała twarde niczym deska, tyłek wciśnięty w błoto. Coś się z niej wyrwało. Coś się z niej wyslizgnęło. Coś wypłynęło w dłonie. Nagle była pusta, taka pusta... za to ręce miała pełne.

Podniosła owoc swego ciała ku czerwonopomarańczowemu księżycowi, myśląc: To nic, wszystko w porządku, na całym świecie kobiety rodzą w polu.

Urodziła Justine.

- Witaj, dziewczynko - wychrypiała cicho. - Oooh, jesteś taka malutka.

I taka cicha.



Z bliska łatwo było poznać, że kamień nie pochodzi z Kansas. Był czarny i lśniący w sposób charakterystyczny dla skał wulkanicznych. Promienie księżyca oświetlały opalizującym blaskiem jego nierówne, łamane powierzchnie, rzucając na nie plamy barwy jadeitu i perły.

Patyczkowaci mężczyźni i patyczkowate kobiety trzymali się za ręce. Tańczyli wśród wijących się fal trawy. Nie sposób było powiedzieć, czy wyryto ich w kamieniu, czy też namalowano.

Z odległości ośmiu kroków wydawało się, że wzlatują ponad powierzchnię wielkiej bryły czegoś, co prawdopodobnie nie było obsydianem.

Z odległości sześciu kroków wydawało się, że wiszą tuż pod szklistą czarną powierzchnią, wyrzeźbieni ze światła, jak coś w rodzaju hologramów. Nie sposób było utrzymać ich w polu widzenia. Nie sposób było oderwać od nich wzroku.

Cztery kroki od kamienia zaczynało się słyszeć. Wydawał cichy, dziwny dźwięk, jak włókno wolframowe w żarówce, gdy płynie przez nie prąd. Ale Cal nic nie czuł, nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że jego lewy policzek czerwienieje jak od oparzenia słonecznego. Nie czuł ciepła.

Zachowaj dystans, ostrzegł w myśli sam siebie, ale zdumiewająco trudno było mu zrobić krok do tyłu. Jego stopy jakoś nie chciały iść w tym kierunku... Już nie.

- Myślałem, że zabierzesz mnie do Becky.

- Powiedziałem, że sprawdzimy, co u niej. I sprawdzimy. Sprawdzimy z kamieniem.

- Nie obchodzi mnie ten twój przeklęty... chcę być z Becky.

- Jeśli dotkniesz kamienia, już się nie zgubisz - powiedział Tobin. - Nie zgubisz się już nigdy. Zostaniesz odkupiony. Czy to nie miłe? - Odruchowo, w ogóle o tym nie myśląc, oderwał piórko z kącika ust i rzucił je na ziemię.

- Nie - zaprotestował Cal. - To wcale nie jest miłe. Wolałbym, żeby nikt mnie nie znalazł.

Czy to tylko wyobraźnia, czy też brzęk kamienia stał się głośniejszy?

- Każdy chciałby dać się znaleźć - powiedział chłopiec przyjaźnie. - Becky chciałyby dać się znaleźć. Poroniła. Jeśli jej nie znajdziesz, pewnie umrze.

- Kłamiesz - rzucił Cal, ale bez przekonania.

Być może zrobił pół kroku w stronę kamienia. Za tańczącymi figurkami, z jego środka wydobywało się ciepłe, fascynujące światło... jakby przez włókno żarówki, pogrzebanej pół metra pod powierzchnią, przepływał coraz silniejszy prąd.

- Nie kłamie. Przyjrzyj się dokładnie, a zobaczysz.

W głębi, pod powierzchnią kamienia jak w przydymionym kwarcu Cal dostrzegł rysy ludzkiej twarzy. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi swoje odbicie, ale choć podobieństwo niewątpliwie istniało, to było to tylko podobieństwo. Patrzył na Becky, Becky z zębami wyszczerzonymi z bólu jak u psa. Pół twarzy oblepione miała błotem. Skórę szyi napinały naprężone ścięgna.

- Beck? - odezwał się, jakby mogła go usłyszeć.

Zrobił kolejny krok, nie mógł się powstrzymać. Pochylił się nad kamieniem, żeby lepiej widzieć. Wyciągnął ręce, gestem mówiącym „ani kroku dalej”. Nie czuł, jak pokrywają się pęcherzami pod wpływem promieniowania kamienia. Nie, to za blisko, pomyślał. Próbował się cofnąć, ale nie był w stanie złapać przyczepności. Wręcz przeciwnie, poślizgnął się, jakby stał na wzgórku miękkiej ziemi, ustępującej pod jego ciężarem. Tylko że podłoże było tu płaskie, poślizgnął się, ponieważ był w mocy kamienia, a kamień miał własną siłę przyciągania, działał na niego jak magnes na opiłki żelaza.

Głęboko wewnątrz ogromnej, nieregularnej kryształowej kuli o ostrych krawędziach Becky otworzyła oczy. Wydawało się, że patrzy na niego wzrokiem jednocześnie zdumionym i przerażonym.

Dźwięk rozbrzmiewający w jego głowie podniósł się o ton. Mocniej powiał wiatr. Trawa chwiała się jak w ekstazie.

W ostatniej chwili Cal zorientował się, że jego ciało płonie, że skóra topi się w nienaturalnym środowisku cienką warstwą otaczającym kamień. Wiedział, że dotknięcie go będzie jak położenie ręki na rozgrzanej patelni, zaczął krzyczeć...

...i umilkł. Krzyk ugrzązł w jego zaciśniętym nagle gardle.

Kamień wcale nie był gorący, lecz chłodny, rozkosznie chłodny. Położył na nim twarz jak znużony pielgrzym u celu podróży, który wreszcie, wreszcie może odpocząć.



Gdy Becky w końcu podniosła głowę, słońce albo wschodziło, albo zachodziło. Brzuch bolał ją jak po lekkiej grypie żołądkowej. Ramieniem otarła pot z twarzy, wstała, ruszyła przez pole traw i trafiła prosto do samochodu. Wielką ulgę przyniósł jej widok kluczyków nadal tkwiących w stacyjce. Wyjechała z parkingu na szosę. Bez pośpiechu ruszyła przed siebie.

Na początku nie wiedziała, dokąd jedzie. Ból brzucha przeszkadzał jej w myśleniu. Nadchodził falami, najpierw tylko dokuczał jak zmęczone mięśnie, po czym nagle wzmagał się bez ostrzeżenia, ostry, rozlewający się po ciele, przebijający wnętrzności, palący podbrzusze. Twarz miała rozpaloną gorączką, nie chłodził jej nawet podmuch powietrza wpadającego przez otwarte okna samochodu.

Zbliżała się noc, zmierzch niósł zapach świeżo skoszonych trawników i ustawianych za domem grillów przygotowanych na spotkania przyjaciół i rozgrywane w świetle lamp mecze baseballowe. Jechała ulicami Durham w chorym czerwonym świetle słońca, zapadającego za horyzont niczym wielka kropla krwi. Minęła Stratham Park, to tam startowała w licealnej reprezentacji lekkoatletycznej. Skręciła przy stadionie baseballowym. Słyszała brzęk aluminiowego kija. Okrzyki chłopców. W stronę pierwszej bazy pobięła z pochyloną głową czarna postać.

Becky prowadziła z roztargnieniem, podśpiewując jeden ze swoich ukochanych limeryków, ledwo świadoma, co robi. Mruczała pod nosem jeden z nich, nie całkiem odpowiadający standardom i nie tak znowu seksualny, choć wyraźnie prowadzący w tym kierunku.

*Pewne dziewczę rumiane i chwackie
Pośród traw urządziło zasadzkę.*

*Gdy wpadł w nią jakiś młodzian,
Wypadał z niej nie odzian,
Bezradnie potrząsając swym wackiem.*

Dziewczę, pomyślała niemal bez związku. Jej dziewczynka. Dopiero teraz, nagle, uświadomiła sobie, co robi. Pojechała szukać dziewczynki, dziewczynki, którą miała się opiekować, o Jezu, co za burdel, mała gdzieś się zgubiła, musi ją teraz znaleźć, zanim rodzice wrócą do domu, tymczasem szybko robi się ciemno, a ona, Becky, nie pamięta nawet imienia tej gówniary.

Próbowała przypomnieć sobie, jak do tego doszło. Przez chwilę nieodległa przeszłość pozostawała mroczna do szaleństwa, ale prawie natychmiast wróciła jej pamięć. Mała chciała pohuścić się w ogródku za domem. Powiedziała jej: „Jasne, w porządku”, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Była bardzo zajęta, wymieniała SMS-y z Travisem McKeanem. Pokłócili się. Nie słyszała nawet trzasku zamykających się drzwi.

co mam powiedzieć mamie

piisał Travis,

kiedy nie wiem nawet czy chcę zostać na studiach, nie mówiąc o założeniu rodziny

I jeszcze to cudo:

jeśli weźmiemy ślub czy to znaczy, że wziąłem też ślub z braciszkiem? on jest zawsze blisko, siedzi na twoim łóżku czytając magazyn deskorolkarzy zdumiewające że nie gapił się na nas tej nocy kiedy zaszłaś w ciążę. chcesz rodzinki załóż ją z nim.

Krzyknęła cicho, chrapliwie, rzuciła komórką o ścianę, robiąc dziurę w tynku, miała nadzieję, że rodzice wrócą do domu pijani, niczego nie zauważą (a kim w ogóle byli ci rodzice, czyj to był dom?). Becky podeszła do okna na całą ścianę, wychodzącego na podwórko od tyłu, odgarnęła włosy z twarzy, próbowała się uspokoić, zobaczyła huśtawkę bujającą się leniwie na wietrze, łańcuchy skrzypiały cicho. Furka prowadząca z ogródka na podjazd była otwarta.

Wyszła, odetchnęła świeżym, pachnącym jaśminem powietrzem późnego popołudnia. Zawołała dziewczynkę, patrząc na podjazd. Zawołała dziewczynkę, patrząc na ogród. Wołała, aż rozbolał ją żołądek. Stała na środku pustej ulicy z dłońmi przy ustach, wołając: „Hej, mała, hej!”. Przeszła uliczką w trawę, spędziła, wydawało się, wieczność, przedzierając się przez chwasty, szukając niegrzecznego dziecka, za które była odpowiedzialna. Kiedy wreszcie wydostała się z trawy, już czekał na nią samochód. Wsiadła, ruszyła... i jechała tak przed siebie, obserwując chodniki, czując narastającą, zwierzęcą panikę. Jej dziewczynka znikła. Straciła dziewczynkę. Dziewczynka dokądś poszła, niegrzeczna, ale ona za nią odpowiadała, i kto wie, co może jej się zdarzyć, co dzieje się z nią właśnie teraz? Tak się tym zdenerwowała, że rozbolał ją żołądek. Poważnie rozbolał.

W ciemności przeleciało nad drogą stado małych ptaszków.

Gardło miała wyschnięte. Strasznie chciało jej się pić. Wręcz nieznośnie.

Ból przeszywał ją i ustępował, przeszywał i ustępował... jak kochanek.

Kiedy po raz drugi przejeżdżała obok boiska do baseballu, było już puste. Gracze wrócili do domów. Mecz odwołano z powodu ciemności, pomyślała Becky, i na tę myśl poczuła na ramionach gęsią skórę. W tym momencie usłyszała dziecięcy głos.

- BECKY! - krzyczała mała dziewczynka. - CZAS COŚ ZJEŚĆ! - Jakby to Becky się zgubiła! - CZAS PRZYJŚĆ COŚ ZJEŚĆ!

- CO TY WYPRAWIASZ, DZIECKO! - odkrzyknęła, podjeżdżając do krawężnika. - CHODŹ TU! CHODŹ DO MNIE NATYCHMIAST!

- BĘDZIESZ MUSIAŁA MNIE ZNALEŹĆ. - Dziewczynka śmiała się głośno. - IDŹ ZA MOIM GŁOOSEM!

Sądząc po głosie, była gdzieś po drugiej stronie boiska, gdzie rośla wysoka trawa. Sekundkę, ale... czy ona już tam nie szukała? Czy nie przeszła przez pole z jednej strony na drugą? Czy na chwilę sama się w tej trawie nie zgubiła?

- PEWNA KROWA LATEM OPUSZCZA OBOREŃ! - wrzasnęła dziewczynka.

Becky weszła na wewnętrzną część boiska. Zrobiła dwa kroki, poczuła rozdzierający ból brzucha, tak silny i nieoczekiwany, że aż krzyknęła głośno.

- GDYŹ WOLI NA ŁĄCIE MLEĆ OZOREM! - Głos małej wibrował śmiechem, z trudem utrzymywanym pod kontrolą.

Becky zatrzymała się, kilka razy odetchnęła głęboko, a gdy ból ustąpił, choć tylko odrobinę, ostrożnie zrobiła krok do przodu. Ból natychmiast wrócił, jeszcze silniejszy niż przed chwilą. Miała wrażenie, że jej ciało rozdziera od środka, jakby wnętrzości były prześcieradłem napiętym z taką siłą, że zaczęło pękać.

- PRZEŻUWA DO WOLI - zaśpiewała dziewczynka. - WOKÓŁ NIKT NIE PITOLI!

Becky zaszlochała, poszła dalej, była już prawie przy drugiej bazie, wysoka trawa rosła nie tak znów daleko, ale kolejny gwałtowny atak bólu powalił ją na kolana.

- PORA MI IŚĆ CZY JECHAĆ JEJ TOREM! - Śmiech w głosie dziewczynki był nie do opanowania.

Becky chwyciła pusty, obwisły wór brzucha, zamknęła oczy i opuściła głowę. Oczekiwała ulgi... a kiedy poczuła się odrobinę lepiej, otworzyła oczy i...



...był przy niej Cal. Pochylał się nad nią w szarym jak popiół świetle wczesnego poranka, przyglądał się jej zachłannie czujnym, byстрым wzrokiem.

- Nawet nie próbuj się ruszać - ostrzegł. - Jeszcze nie. Odpoczywaj. Jestem przy tobie.

Ukląkł, nagi do pasa. Jego chuda pierś w siwym porannym świetle wydawała się nienaturalnie blada. Twarz miał jak przypieczoną, i to poważnie, na prawym skrzydełku nosa nabrzmiwał pęcherz, ale poza tym sprawiał wrażenie zdrowego, wypoczętego... nie, więcej, energicznego i gotowego do działania.

Chciała powiedzieć „dziecko”, ale z jej gardła wydobyło się nie słowo, lecz zgrzyt, jak z zardzewiałego zamka, w którym ktoś próbuje obrócić zardzewiały klucz.

- Spragniona? Założę się, że tak. Masz, weź. Wsuń do ust.
- Podał jej koniec swojego podkoszulka, skręconego i namoczonego w wodzie. Zaczęła go ssać tak gwałtownie jak niemowlę przystawione do piersi.

- Nie, już nie - powiedział Cal stanowczo. - Bo się pochorujesz. - Zabrał podkoszulek. Jego siostra dyszała jak wyjęta z wody ryba.

- Dziecko - wyszeptała.

Cal uśmiechnął się do niej najszerszym ze swoich zwariowanych uśmiechów.

- Czyż nie jest wspaniała? Mam ją. Doskonała. A jaka pyszna z przypieczoną skórką!

Podniósł coś leżącego w trawie przy jego boku, też owiniętego w podkoszulek, ale nie jego. Zobaczyła sterczący z całunu siny nosek. Nie, to nie całun. Całuny są dla martwych. To powijaki. Urodziła dziecko tu, w trawie, obyła się nawet bez żłóbka.

Jak zwykle Cal przemówił tak, jakby miał bezpośredni dostęp do jej najskrytszych myśli.

- Prawdziwa z ciebie Maria Matka Boska. Teraz tylko czekać Trzech Króli. Ciekawe, jakie przyniosą dary?

U boku Cala pojawił się piegowaty, spalony słońcem chłopiec o nieco zbyt szeroko rozstawionych oczach. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach i spojrzał na niemowlę.

- Czyż nie jest cudowna? - spytał chłopca Cal.

- Wyśmienita - odrzekł malec.

Becky zamknęła oczy.



Prowadziła w ciemności z opuszczonymi szybami, wiatr zwiewał jej włosy z twarzy. Wysoka trawa rosła po obu stronach szosy, daleko aż po horyzont. Będzie jechała przez nią aż do śmierci.

- *Pewne dziewczę rozpustne i chwackie* - zaśpiewała - *pośród traw urządziło zasadzkę.*

Trawa ocierała się z szelestem o niebo.



Tego ranka, nieco później, na kilka chwil otworzyła oczy.

Jej brat trzymał lalkę za nogę. Lalkę całą brudną od błota. Gapił się na nią z czystą, bezmyślną fascynacją, jednocześnie ją jedząc. Wyglądała jak żywa, pyzata, tłuściutka, ale jakaś mała, i kolor też miała dziwny, bladoniebieski, trochę jak zamarznęte mleko. Pomyślała, że powinna go ostrzec: „Cal, nie jedz plastiku”, ale nie starczyło jej sił.

Za Calem siedział chłopiec. Widziała go z profilu, zlizywał coś z palców. Coś wyglądającego jak galaretką truskawkowa.

W powietrzu unosiła się ostra woń, jak ze świeżo otwartej puszki rybek. Zaburczało jej w brzuchu, ale była za słaba, żeby uciec, za słaba, żeby cokolwiek powiedzieć. Głowa

opadła jej na ziemię, oczy same się zamknęły i Becky znów zapadła w sen.

■ ■ ■

Tym razem nic jej się nie śniło.

■ ■ ■

Gdzieś zaszczekał pies, „wrrrhau, wrrrhau, wrrrhau”. Młot uderzał raz za razem, głośno i dźwięcznie. Becky odzyskała przytomność.

W ustach miała sucho, znów chciało jej się pić. Była spragniona i głodna. Czuła się tak, jakby skopano ją w brzuch.

- Cal - szepnęła. - Cal?

- Musisz jeść - powiedział jej brat. Położył jej na języku coś słonego. Na palcach miał krew.

Gdyby była choćby na wpół przytomna, to pewnie by się udławiła. Ale to coś smakowało dobrze, trochę słono, trochę słodko i miało w sobie trochę tłuszczu. Jak sardynka. Nawet pachniało podobnie jak sardynka. Wyssała to coś jak wcześniej wodę ze zwiniętego podkoszulka.

Wciągnęła jak spaghetti. Cal czknął. Przełknęła. Poczula przykry posmak, gorzko-kwaśny, ale nawet on był na swój sposób przyjemny. Wrażenie było takie, jak gdy wypije się margaritę, a potem zliże trochę soli z krawędzi szklaneczki. Czknięcie Cala zabrzmiało prawie jak śmiech.

- Daj jej jeszcze kawałek - powiedział chłopiec, wyglądając zza jego ramienia.

Brat dał jej jeszcze kawałek.

- Mniam, mniam. No, proszę, przełknij dzieciinę.

Becky przełknęła i znów zamknęła oczy.

■ ■ ■

Potem się obudziła, przewieszona przez ramię Cala. Cal szedł. Jej głowa kiwała się rytmicznie, ucisk na brzuch też był regularny.

- Jedliśmy? - wyszeptała.

- Tak.

- Co jedliśmy?

- Coś pysznego.

- Cal, co my jedliśmy?

Nie odpowiedział. Rozgarnął trawę upstrzoną jasnobrązowymi plamkami. Wyszedł na polanę. Pośrodku polany stał wielki czarny kamień. A przy kamieniu chłopiec.

Tu jesteś, pomyślała. A przede mną to się chowałeś. Wszędzie cię szukałam. Tylko że nie szukała kamienia. Kamień nie może się chować. Szukała...dziewczynki.

Dziewczynka, moja dziewczynka. Jestem za nią odpowie...

- CO JEDLIŚMY!?! - Tłukła brata pięściami, ale była taka słaba, taka słaba. - O BOŻE! O JEZU!

Położył ją na ziemi. Patrzył na nią, najpierw zaskoczony, potem rozbawiony.

- A jak myślisz, co jedliśmy? - Spojrzał na chłopca, uśmiechającego się, kręcącego głową tak, jak się robi, gdy ktoś palnie straszną gafę. - Beck... skarbie... zjedliśmy trochę trawy. Trawy, nasion i tak dalej. Krowy robią to przez całe życie.

- *Pewna krowa latem opuszcza oborę...* - zaśpiewał chłopiec. Położył rękę na ustach, tłumiąc śmiech. Palce miał czerwone.

- Nie wierzę ci - powiedziała Becky słabym głosem. Patrzyła na kamień. Na całej jego powierzchni wyryto małe tańczące figurki. Tak, w świetle poranka rzeczywiście wydawało się, że tańczą. Wznoszą się po spirali. Wyżej i wyżej.

- Doprawdy, Beck... dziecko... jest wspaniałe! Bezpieczne. Dotknij kamienia, a sama zobaczysz. Zrozumiesz. Dotknij kamienia, a zostaniesz...

Spojrzał na chłopca.

- Odkupiona! - wykrzyknął Tobin.

Roześmiali się.

Bliźniaki, bliźniaki, ich śmiech jest sam taki... - pomyślała dziewczyna.

Podeszła do kamienia... wyciągnęła rękę... cofnęła ją. To, co jadła, nie smakowało jak trawa. Smakowało jak sardynki. Jak ostatni słodko-słono-gorzki łyk margarity. I jak...

Jak ja. Jak pot spod pachy. Albo... albo...

Zaczęła krzyczeć. Spróbowała się odwrócić, wymachiwała rękami, ale Tobin unieruchomił jej jedną, a Cal drugą. Powinna zdołać wyrwać się dziecku, ale ciągle była taka osłabiona. I ten kamień, on też na nią działał.

- Dotknij go - szepnął Cal. - Nie będziesz już taka smutna. Zobaczysz, że dziecku nie stało się nic złego. Mała Justine. Dziecku nie stało się nic złego, wręcz przeciwnie. Jest żywołem. Becky, ona płynie.

- No właśnie - dodał Tobin. - Dotknij kamienia. Sama zobaczysz. Już się nie zgubisz. Nigdy. Wreszcie zrozumiesz trawę. Staniesz się jej częścią. Tak jak Justine, staniesz się jej częścią.

Poprowadzili ją do kamienia. Brzęczał pracowicie. Szczęśliwie. Z jego wnętrza wydobywała się cudowna poświata. Na powierzchni patyczkowaci mężczyźni i patyczkowate kobiety tańczyli z rękami wzniesionymi nad głowy. Do muzyki.

Wszystko, co z ciała, jest trawą, pomyślała Becky DeMuth. I objęła kamień.



Było ich siedmioro w starym kamperze trzymającym się na ślinie, drut i, być może, smołę ze skrętów, wypalonych w jego zardzewiałych ścianach. Na jednej z nich wśród chaosu czerwonych i pomarańczowych psychodelicznych wzorków widniało słowo FURTHUR, a to na cześć international harvester z 1939 roku, którym Merry

Pranksters Kena Keseya przyjechali w 1969 roku do Woodstock. W 1969 nikogo oprócz dwójki najstarszych hippisów nie było jeszcze na świecie.

Dwudziestopierwszowieczni hippisi odwiedzili właśnie Cawker City, gdzie oddali hołd największemu kłębkowi sznurka na świecie. A potem naćpali się po uszy i teraz wszyscy byli głodni.

To Kręcioł, najmłodszy z nich, dostrzegł smukłą, bijącą w niebo wieżę kościoła pod wezwaniem Czarnego Kamienia Odkupiciela, a obok kościoła jakże wygodny parking.

- Piknik parafialny! - krzyknął ze swojego miejsca obok Cud Tatki, siedzącego za kierownicą. Podskakiwał, aż podzwaniały sprzączki jego dżinsowego kombinezonu. - Piknik parafialny! Piknik parafialny!

Po chwili już wszyscy skandowali te dwa słowa. Cud Tatko spojrział we wsteczne lusterko na Mamuškę, a kiedy Mamuška wzruszyła ramionami i skinęła głową, zjechał FURTHUREM z szosy. Zaparkował koło zakurzonej mazdy z numerem rejestracyjnym z New Hampshire.

Pranksterzy, wszyscy w pamiątkowych koszulkach Kłębka Sznurka i wszyscy śmierzący pod niebiosa najlepszą marychą, wysypali się z kampera. Tatko i Mamuška, najstarsi z nich, byli odpowiednio kapitanem i pierwszym oficerem dobrego statku *FURTHUR*, a pozostała piątka, Mary Ziolo, Napalony, Eleanor Rigby, Frankie Czarus i Kręcioł, chętnie ograniczała się do wykonywania ich rozkazów. Wyciągnęli lodówkę z mięsem i, oczywiście, piwo. Napalony i Czarus właśnie ustawiali grill, gdy dotarł do nich słaby, daleki głos:

- Ratunku! Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże!
- To jakby kobieta - powiedziała Eleanor.
- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! Zgubiłem się!
- To nie kobieta - stwierdził Kręcioł. - To mały dzieciak.
- Ale odjazd! - Mary Ziolo, nabuzowanej po uszy, tak na poczekaniu nic innego nie przyszło do głowy.

Tatko spojrzał na Mamuskę. Mamuska spojrzała na Tatkę. Oboje dobiegali sześćdziesiątki. Byli ze sobą tak długo, że wytworzyło się między nimi coś w rodzaju telepatii.

- Dziecko wlało w trawę - powiedziała Cud Mamuska.

- Matka usłyszała, jak krzyczy. Poszła go szukać - powiedział Cud Tatko.

- Pewnie jest za mały, żeby zobaczyć szosę... - stwierdziła Mamuska - ...no i...

- No i oboje się zgubili - zakończył Tatko.

- Jeeezu, okropne - jęknął Napalony. - Ja też się kiedyś zgubiłem. W galerii handlowej.

- Ale odjazd! - powtórzyła Mary Ziolo.

- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! - krzyczała kobieta.

- No to chodźmy - zdecydował Tatko.

- Znajdziemy ich, a potem nakarmimy.

- Doskonały pomysł - ucieszył się Czarus. - Ludzki człowiek, rozumiesz? Jesteśmy pieprzone ludzkie ludzkie.

Cud Mamuska od wieków nie miała zegarka, ale potrafiła nieźle określić czas po słońcu. Spojrzała na nie, mrużąc oczy, zmierzyła odległość między czerwieniejącą już kulą i wierzchołkami trawy, która ciągnęła się niemal po horyzont. Założę się, że całe Kansas tak wyglądało, nim przyszli tu ludzie i wszystko zepsuli, pomyślała.

- To dobry pomysł - powiedziała głośno. - Jest koło wpół do szóstej. Założę się, że są już naprawdę głodni. Kto zostanie i rozpali grill?

Ochotnicy się nie zgłosili. Głodni byli wszyscy, owszem, ale nikt nie chciał sam wykluczyć się z tej misji humanitarnej. Więc w końcu wszyscy przeszli przez drogę numer siedemdziesiąt trzy. I zniknęli w wysokiej trawie.

[1] *Oh, whistle and I'll come to you, my lad* - tytuł i refren wiersza Roberta Burnsa z 1793 r.; również tytuł opowiadania Montague'a Rhodesa Jamesa z 1904 r., sfilmowanego w 1968 r. dla BBC.

[2] *Bard of Hibbing* – piosenka śpiewana przez Drew Richardsena poświęcona Bobowi Dylanowi.